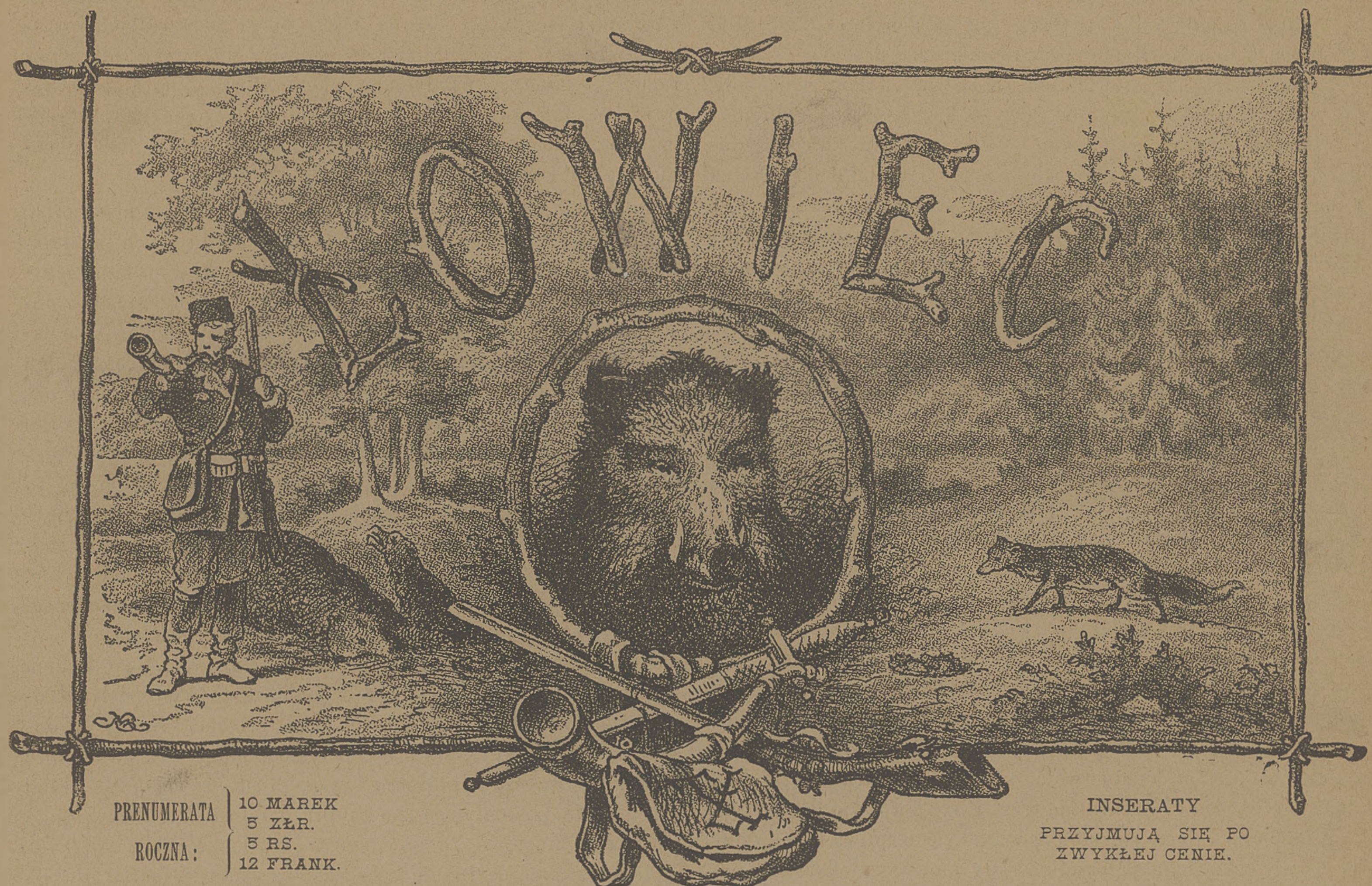
Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1881 Rok IV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK 5 ZŁR. 5 RS. 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

Sprawy Galic. Towarzystwa Łowieckiego.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieckiego.

Dzieduszycki Kazimierz hr.
Festenburg Edward Gerard Dr. medyc.
Pilecki Władysław.
Glinka Antoni.
Nowacki Michał.

SŁONKA

PRZEZ

Barona C. E. Thüngena.

(Dokończenie).

Szuka się słonek już dla ułatwienia wyżłowi wietrzenia zawsze pod wiatr, lub gdy to jest niemożliwe, przynajmniej z wiatrem ukośnym. Jest przy tem i ta korzyść, że słonka lepiej dotrzymuje, ponieważ trudno jej pod wiatr się podrywać, a jeżeli zmuszoną jest do tego, to prędzej znowu zapada. Na miejsce zapadania musi myśliwy bardzo uważać, aby słonkę odszukać, jest bowiem obowiązkiem myśliwego tak długo prześladować słonkę, dokąd jej nie ubije, lub też dokąd wszelkie usiłowania odszukania jej, nie okażą się płonnemi. Jeżeli powietrze jest łagodne, a dzień ciepły, to dosiaduje słonka zwłaszcza gdy przez kilka dni nie była niepokojoną, twardo przed psem. Podrywa się ciężko i z wielką wrzawą, w miejscach otwartych nisko, przeciwnie w wysokich krzakach naprzód wznosi się prosto i często

szybko, więc trudniejszy jest strzał do niej, bo w krzakach się gubi. Zapada zwykle, jeżeli już nie była kilkakrotnie strzelana, lub może dopiero na to miejsce przybyła, (wtedy jest płochliwszą), w niewielkiem oddaleniu, należy więc, gdy się ją chybiło, lub z powodu gęstych krzaków wcale do niej nie strzelało, zaraz iść za nią w kierunku, w którym uleciała. Jednak nie powinno się wprost do niej zbliżać, lecz z boku, w takim razie dosiedzi na strzał, zwyczajem jest bowiem słonki, ku tej stronie, z której się poderwała, ciekawie i uważnie patrzyć, a tak nie dostrzega niebezpieczeństwa, które jej z innej strony zagraża. Przy przeszukiwaniu okrajka lasu nie należy wchodzić weń głębiej, lecz iść w oddaleniu 12 do 15 kroków od krzaków, aby mieć łatwiejszy strzał, a w każdym razie podrywającą się słonkę mieć na oku, gdyby w las pociągnęła. Gdzie drzewostan jest gęsty, korzystać trzeba z każdej luki, szczególnie ze starych, nie zarosłych dróg, w których słonki najchętniej przebywają i zapadają. Nieustannie w pogotowiu do strzału co chwila należy stawać i kazać psu przeszukiwać najgęstsze krzaki. Samemu wciskać się w gąszcze, co czynią niektórzy gorący myśliwi, nie radzę z tego powodu, bo gdy się ptak nie wystawiony przez psa poderwie, to nie tylko celnie strzelić, ale nawet strzelby do ramienia podnieść gęsty krzew nie pozwala. O tyle przeto potrzebna swoboda, by ręce były wolne. Gdy pies stanie, każe się mu wytrzymać wołając: couche! waruj! następnie staje się z boku lub najlepiej naprzeciw psa, a wtedy woła się: pójdź dalej, dokąd ptaka nie wypędzi. Naturalnie trzeba być gotowym do strzału, którym podrywającą się słonkę wita. Niecierpliwi lub gorący raczej myśliwi ściągają cyngiel, gdy słonka zaledwo się poruszyła. Takiego postępowania nie możemy polecać, unikać bowiem zawsze należy rozbijania zwierzyny przeznaczonej do jedzenia, co zwykle się dzieje w skutek nadto bliskiego strzału. Najlepiej przeto strzelić, gdy słonka poderwawszy zabiera się do lotu, wyjątkiem są wypadki, gdy się strzela dosyć daleko, lub gdy na raz dwie słonki się podrywają, w takim bowiem razie zwlekając nie byłoby już czasu strzelić raz drugi. Jeżeli słonka twardo siedzi, a myśliwy zdążył na dogodne stanowisko, pozwala się psu skoczyć ku niej wyrazem: pif! a wtedy musi się zerwać.

Słonka zrazu podrywa się zawsze prawie prostopadle Gdy w lesie łaciastym, to korzystać trzeba z chwili, gdy poderwanie się przechodzi w normalny lot, moment to pewnego zastoju, który nawet dla niewprawnego strzelca trwa tak długo, iż do celnego strzału zmierzyć się może. W przecięciu nie należy strzelać przy buszowaniu dalej, jak na 30 do 40 kroków, ponieważ w lesie gęsto zarośniętym niepodobna dalej ptaka mieć na oku. Szybko składającemu się myśliwemu udaje się często nawet w większem oddaleniu zabić słonkę. Zresztą nie ma czasu dokładnie rozmierzać odległość. Ociąganie się ze strzałem jest najgorszym przymiotem myśliwego przy buszowaniu. Gdy słonka pudłami popłoszona już nie dotrzymuje, dobrze jest zostawić ją na pół godziny w spokoju, tem łatwiej potem dostaje się ją na strzał. W niepodszytym lesie zdarza się często przed psem krótko szukającym upatrzyć słonkę na ziemi siedzącą i strzelić do niej, zaprawia to wybornie młodego psa. Najlepiej dosiaduje słonka przed psem, kiedy słońce wysoko już na niebie, gorzej rano i wieczorem, najgorzej przy wietrze zachodnim. Łagodne, ciche, nawet dżdżyste powietrze o tyle bywa na wiosnę korzystniejsze, że przy takiem powietrzu w poprzedniej nocy świeżego ciągu słonki naleciały. W dniach zimnych i wietrznych szkoda trudu i zachodu, zwykle nie znachodzi się żadnej, chyba może jakąś przypadkiem przeciągającą. W takich dniach lepiej jest, gdy więcej strzelców razem się zbierze, wtedy bowiem ci, którzy obiorą sobie stanowiska, lub w pewnem oddaleniu od buszujących postępują, mogą choćby nawet nie strzelali, dostrzedz, gdzie poruszone słonki zapadają, i tam ich szukać.

Dotąd mówiliśmy o buszowaniu pojedyńczych myśliwych, podamy teraz niektóre wskazówki dla buszujących społem. Przedewszystkiem przypomnieć należy, by w takim razie dwóch tylko najwięcej trzech psów używano, by myśliwi postępowali tak jak w polu w równych odstępach (około 60 kroków), zawsze w prostej ile możności linii, niech żaden nie zapędza się naprzód ani też w tyle pozostaje, niech następnie po każdym strzale cały szereg przystanie, aż ten który strzelił nabije, i głośnem: naprzód! do dalszego pochodu upomni. Jeżeli buszujące towarzystwo jest liczne, to przednie straże czynią wyborną usługę. Gdy całe grono myśliwych rozstawiło się przed gąszczem, młodem cięciem, zrębem i t. p. w oddaleniu około 40 do 50 kroków od siebie, to wydzielają się z niego do przedniej straży przeznaczeni myśliwi, którzy w dalekim łuku otaczają miejsce mające być przebuszowane, i ustawiają się na ostatecznym jego krańcu w prostej linii tak, iż stojąc w należytych odstępach zwróceni są frontem ku buszującym towarzyszom. Każdy z buszujących, przed którym słonka się poderwała, uwiadamia o tem towarzyszów głośnym wykrzykiem: *tire haut!* Jeżeli nie ciągnie po nad gąszcze ku przedniej straży, lecz zapada na prawo lub lewo, to powinien myśliwy, który ją widzi zapadającą, miejsce to nie spuszczać z oka i współmyśliwych o tem uwiadomić, aby ją tam szukali. W celu zapobieżenia gorącego strzału ze strony buszujących lub przedniej straży, najsurowiej się przestrzega, by ani buszujący ani poprzednik nie strzelał do słonki, jeżeli ona do wysokości pięciu lub sześciu stóp po nad normalną wysokość człowieka się nie podniosła. Zawsze uważaliśmy za najdogodniejsze, gdy dwaj tylko strzelcy wyprawili się na buszowanego za słonkami w towarzystwie jednego lub dwóch psów, ale bardzo spokojnych i karnych.

Buszowanie w jesieni ma swe korzyści, ale też dostarcza trudności w strzelaniu, w lesie bowiem szpilkowym, w którym słonki w jesieni chętniej przebywają, więcej bywa powodów do chybionych strzałów. Buszowanie w jesieni ma przedewszystkiem tę korzyść, że w tej porze o wiele więcej bywa słonek, jak na wiosnę, liczba ich bowiem w dwój lub trójnasób pomnożyła się młodzieżą, że w jesieni dłużej się słonki u nas zatrzymują, i lepiej dotrzymują. Gdy wszakże przy buszowaniu samce i samice na strzał się pojawiają, to buszowanie jesienne mniej jest szkodliwem dla mnożenia się słonek, podczas gdy na wiosnę buszowanie przeszkadza w zapłodnieniu i wylęganiu, a zbyt często powtarzane staje się głównym powodem zmniejszenia liczby słonek.

Polowanie z nagónką. — Jeżeli w jak najkrótszym czasie ma być wielka liczba słonek ubitą, jeżeli się próbuje szczęścia, a w dniach, w których normalnie słonki nie dosiadują, wbrew nieprzyjaznemu powietrzu poluje, wtedy nagonka jest jedynym potemu środkiem, i dostarcza ona dobrym myśliwym wiele przyjemności, czterech bowiem lub pięciu strzelców na małej przestrzeni świetne zwykle osięgają rezultaty. Jak buszowanie tak też polowanie z nagonką odbywać się może na wiosnę i w jesieni. W ostatniej strzelane

bywają słonki najczęściej przy napędzaniu innej zwierzyny. W celu zapewnienia sobie powodzenia, wysyła się w różne strony rewiru ludzi wytrawnych rano na zwiady. Potem przeszukuje się jeszcze z wyżłem miejsca, w których bywa najwięcej słonek, a potem dopiero na pewne poluje się z nagónką. Wielkie lasy nie są do tego odpowiednie, gdy wszakże zachodzi potrzeba polowania w nich, to dobrze jest wielkie mioty podzielić na dwie lub trzy części, i każdą zosobna przepędzić, bo słonki kilka razy spędzone, zamiast na myśliwych ciągną na nagonkę. Na naganiaczy bierze się chłopców lat 14 lub 15, silnych, zwinnych, ruchliwych, posłusznych, najwięcej 7 lub 8, przestrzenie bowiem leśne, w których słonki przesiadują, są zwykle niewielkie. Gońce mają w ręku kije lub klekotki, i niemi śród świstu i krzyku co chwila silnie uderzają, zwłaszcza ponad gąszczem, do którego wcisnąć się nie mogą. Zarazem mają obowiązek widząc podrywającą się słonkę bezwłocznie głośno wołać: *tire haut!* Gonić powinni wolno i postępować naprzód w równej linii. Nie ma potrzeby przy polowaniu tego rodzaju zwracać uwagi na wiatr, lubo niektórzy myśliwi i pisarze utrzymują, że zawsze a szczególnie w jesieni dobrze jest zajmować mioty z wiatrem, ponieważ wtedy słonka ciągnie naprzód, w przeciwnym zaś razie chętniej na skrzydła, jak na myśliwych. Co do użycia strzelców przestrzegać należy: W dniach, w których słonki twardo dosiadują, niech większa liczba strzelców idzie z nagónką, jeżeli las nie jest zbyt gęstym i dozwala strzału. Gdy słonki wcale nie dotrzymują, lecz się wszystkie podrywają, postawić należy myśliwych na stanowiskach, kilku zaś tak, iżby mogli przeciągające na skrzydła słonki mieć na oku. Jeżeli powietrze jest ani zbyt ciepłe ani nadto zimne, a więc stosunek dosiadywania słonek zwyczajny, ustawia się myśliwych jak zwykle, ale na obu skrzydłach stawia się wytrawnych myśliwych i wiarogodnych, oni bowiem nie tylko najczęściej strzelają, ale mogą też dać wiadomość, w jaką stronę zwróciły się słonki, które na myśliwych nie ciągnęły, co dla dalszego powodzenia polowania jest nader ważne. — W ogólności rozstawia się strzelców w odległości około 60 kroków tak, iżby nieco mieli przed sobą wolnej przestrzeni do strzału i dostrzeżenia przeciągających słonek. Jeżeli słonka lot swój kieruje ku strzelcowi, niech się przedwcześnie nie porusza, w takim bowiem razie często słonka w bok się zwraca. Czasem, szczególnie w dalekich miotach wszystkie słonki jakby z planu w tył się zwracają. Wtedy dobrze jest mieć kilku strzelców między nagónką, lub zaczajonych z tyłu w gąszczu. Myśliwi niech nigdy nie stoją naprzeciw słońca, z powodu bowiem rażących promieni nie można dobrze, albo wcale strzelać, a nie zawsze można słonkę przepuścić, i po za sobą strzelić. Szczególnie w jesieni, gdy dosyć jeszcze gęsty liść na drzewach nie dozwala dobrze widzieć słonki i do niej się zmierzyć, trzeba bardzo na to uważać, aby myśliwy miał słonce z tyłu lub z boku. Jeżeli spostrzeżono zapadającą słonkę, a miejscowość i przebieg polowania dozwalają natychmiast ją szukać, wysyła się jednego lub dwóch pewnych strzelców, większa bowiem liczba nawzajem sobie przeszkadza. Gdy się widzi podczas gonu zbliżającą się słonkę pieszo, to nie trzeba również jak do lisa do niej się zrywać, spostrzeże ona bowiem najmniejsze poruszenie, jeżeli jej gąszcz w tem nie przeszkadza. Nie trzeba strzelać do słonki, gdy ona wachlując skrzydłami zabiera się do zapadania, jakoteż gdy spostrzegłszy myśliwego i nie dotknąwszy jeszcze ziemi, znowu się do lotu podnosi, lecz wtedy dopiero, gdy zwykłym, prostym ciągiem przelatuje. Często zjawi się słonka prosto w obec myśliwego, niech w takim razie przed sobą do niej nie strzela, bo niezawodnie chybi, niech strzela raczej poza sobą, a pewnie łatwiej ją ubije. Nie można jednak bezwarunkowo wzbraniać strzału przed sobą, bo gdy słonka ciągnie wysoko i nie zbyt prędko, to i taki strzał bywa pewny. Inaczej się dzieje, gdy ona, jak to się zdarza zwykle na drogach i na krajach gąszczów, przy ziemi lub w równej z myśliwym wysokości przeciąga. W dniach, w których słonki dotrzymują, najwięcej strzela idący na kilkaset kroków przed nagónką, nie jedną bowiem sam poruszy, inną znowu zabije odwróciwszy się, gdy usłyszy głośne: *tire haut!* nagonki, zresztą widzi on lepiej jak inni, gdzie słonki zapadają lub ulatują.

Aby w wielkich lasach, w których trudno znaleść słonki, na pewne się dowiedzieć, gdzie pociągnęły, użyć trzeba sposobu podanego przez Diezela: Niech jeden z gońców zręczny do wspinania się na drzewa, wdrapie się na jedno z nich dosyć wysokie, siądzie na mocnej gałęzi z zwróconą ku nagonce uwagą, i niech zapamięta, gdzie która z słonek zapadła. Mocno popłoszone słonki zapadają najchętniej na ostatecznym krańcu lasu, nawet w odosobnionych, małych krzakach, gdzie twardo dosiadują.

W końcu dołączamy jeszcze przestrogę, której zaniedbanie sprowadza nieprzyjemności. Może się przy polowaniu z nagonką na wiosnę zdarzyć, że w zaroślach polnych, gdzie najczęściej kuropatwy się znajdują, takowe w gąszczu nagle przed myśliwym się poderwą, a ten zwłaszcza jeżeli jest gorącym i niedoświadczonym, weźmie je za słonki. Barwa upierzenia i dziob nie są tu dostatecznemi znamionami, przeciwnie są inne dwie o wiele pewniejsze cechy, mianowicie słonka porusza się o wiele wolniej jak kuropatwa, i ma cięższy, jakoby chwiejny i zbliżony do wachlowania kaczego lot. Te cechy trzeba mieć na uwadze i przed strzałem dokładnie rozpatrzyć, do czego właściwie się strzela.

Nie ma potrzeby brać więcej psów na polowanie z nagonką, ale jeden pożądany, on powinien przeszukać małe pominięte miejscowości i przechody z jednego miotu do drugiego, jakoteż postrzelone i ubite ptaki znaleść. Świetnych rezultatów osięga się na polowaniu z nagónką tylko w takich miejscowościach, gdzie podczas ciągu zwykle słonki gęsto przebywają. Gdzie mało słonek, tam nie warto polować z nagónką. Lubo takie łowy wiele dostarczają przyjemności, to jednak przynoszą one i szkodę, a mianowicie tę, że na nich zbyt wiele słonek ginie, i że głównie przyczyniają się do pomniejszenia ich liczby, zresztą zwłaszcza na wiosnę w porze parzenia się i lęgu nadto je płoszą.

Zasiadka na mokradłach. — Ten rodzaj polowania najbardziej bywa używany w wielkich rewirach na wiosnę i w jesieni, gdzie z powodu braku małej zwierzyny wyżły nie bywają trzymane. W takich lasach nie można polować na buszowanego i z nagónką, bo rezultat w porównaniu z czasem straconym, trudem i kosztem, byłby nadto mało znaczącym. Sposób ten polowania ma te korzyści: Jest pewniejszym jak inne, bo słonki odwidzają regularnie każdego wieczora owe dobrze sobie znane miejsca, szczególnie wtedy, gdy od dawna deszcz nie padał. Może być nawet przez takich myśliwych używany, którzy w biegu lub w lot strzelać jeszcze nie umieją. Jest wygodny, bo nawet po całodniowej ciężkiej pracy jest on chwilą przyjemnego odpoczynku. Najodpowiedniejsze miejsca są łąki, które same przez się są suche, ale z przymieszką mokrych miejsc, w ogóle tam, gdzie słonki mogą swobodnie z ziemi wydobywać owady, jakoteż

gdzie wiele gnoju krowiego, z którego słonki wydobywają owady. W takich miejscach przygotowuje się kryjówkę, schowek z gałęzi lub wreszcie budkę, z której wyczekuje się ze zmrokiem ciągu słonek. Kryjówka powinna być na 20 do 25 kroków od krzaków oddaloną z otworem tak dużym, iżby przezeń swobodnie rozpatrywać się i strzelić można. Strzelba powinna być nabita bardzo cienkim śrótem w części, by z tak bliskiego oddalenia słonki zbyt nie rozbić, w części zaś, by o ile możności trafić ją w szyję i głowę lub skrzydła, iżby zbyt daleko od miejsca strzału nie odleciała. W przeciwnym razie dym ze strzelby nie pozwala na razie dostrzedz, w którą stronę nawet śmiertelnie raniona się zwróciła. Późniejsze poszukiwanie nawet z bardzo dobrym psem w grubym gąszczu zwykle bywa bezskuteczne. W pierwszej chwili po zapadnieniu wietrzy słonka tak jak zwierzę czworonożne, i pozostaje przez chwilę nieporuszoną z głową podniesioną, jak gdyby na coś czatowała. W tej chwili nie powinien myśliwy, choćby najstaranniej ukryty, najmniejszem poruszeniem zdradzić swojej bytności, spostrzeże to bowiem słonka natychmiast. Gdy wszakże pocznie ona biegać lub dziobem w błocie grzebać, można ostrożnie strzelbę do ramienia podnosić. Słonka zajęta wydobywaniem z ziemi robactwa, nie zważa na strzał wychodzący z budki, tak zaciekle oddaje się szukaniu żeru, jak głuszec miłośnemu zapałowi, podczas którego nie słyszy strzału, więc słonka chybiona przewraca dalej ziemię szukając pożywienia. W każdym razie dobrze jest mieć również w tej porze dobrego wyżła przy sobie.

Łowienie. — Nie ma obecnie tyle słonek, iżby polowanie na nie z bronią palną nie wystarczało, dla tego łowienie słonek staje się prawie niepożytecznem, z tego też powodu wspomniemy o niem tylko w kilku słowach. Właściwie nie powinno się nigdy łowić słonek na wiosnę, albowiem mimo przezorności wyrządza się strzelaniem kur już znaczną szkodę mnożeniu się tej zwierzyny. Łowienie w spadających sieciach, jakie zastawiane bywają na kszyki i dubelty, dziś już prawie wcale nie używane, ponieważ słonki coraz rzadszemi się stają, a mozolne przygotowania przyrządów i koszta już się nie wypłacają, zresztą w każdym razie, w którymby owych przyrządów użyć można, broń palna przyjemniejszą i pożyteczniejszą robi usługę. Na drogach leśnych i ścieżkach zakłada się wielkie czworograniaste siatki z cienkich silnych nici z wielkiemi oczkami, i zawiesza się je na łatwo spadające wałki tak, iż cała szerokość i wysokość drogi nią jest zajęta. U góry siatki kładzie się żelazo lub kamienie, aby cała siatka równo i jak najszybciej spadała. Na dwie lub trzy stopy od ziemi umocowuje się ją na dwóch palach, ażeby się w różne strony nie chwiała. Myśliwy kryje się w postawionej w pobliżu budce, bierze sznur ściągający w obie ręce, i skoro słonka zbliży się na 6 do 10 stóp do siatki, wypuszcza sznur z ręki, a cała siatka spada na słonkę. — Łowienie na sidełka kuropatwie dostarcza w miejscowościach, w których wiele jest słonek, niemałej korzyści. Stawia się je, szczególnie w mglistych dniach na boku drogi przecinającej część lasu, w której pobyt większej ilości słonek się przypuszcza. Następnie poczyna kilku chłopców gonić w owej części lasu silnie nogą uderzając w ziemię. Tym sposobem napędza się słonki w sidła. Jeżeli się tak poluje rano od 8 godziny aż do południa, a chłopcy gonią bardzo wolno, to słonka się poderwie, umyka pieszo przed głośnem deptaniem, i idzie w sidła. Nie podobna pochwalić zwyczaju niektórych myśliwych stawiania sideł po drożynach przez bydło i zwierzynę wydeptanych i pozostawiania ich przez dzień i noc, albowiem zwykle się przy tem zdarza, że takie sidła albo bydło rozrywa lub przechodzący ludzie wykradają, zresztą codzienne suszenie sideł jest mozolne i wiele czasu wymagające. O wiele odpowiedniejsze od powyższego sposobu łowienia są sidełka kluczkowe. Są one jeszcze prawie wszędzie w używaniu, a szczególnie w jesieni, głównie w miejscowościach mało dostępnych, jak w wysokich górach lub grubych gąszczach, gdzie inny rodzaj polowania albo jest nader mozolny lub wcale niemożliwy. Pod nazwą sidełek kluczkowych rozumiemy przyrząd składający się z palików, do których przymocowane są sidełka sporządzone z włosienia, w ten sposób nad ziemią umieszczone i do niej przymocowane, że ptaki przebiegające pod niemi, za szyję w kluczkach się łowią. Na kilka tygodni przed ciągiem oczyszcza się z liścia i trawy drożynki w gąszczu, do którego bydło nie ma przystępu. Jeżeli nie ma takich ścieżek śród młodego gęstego lasu, to się wycina je uprzątnieniem gałęzi i trawy i wygracowaniem ziemi. W poprzek na takich naturalnych czy sztucznych ścieżkach wtyka się w ziemię sidełka kluczkowe, i to aż do kolanka przytrzymujących nici tak, iż każda kluczka wisi ponad ziemią na 8 do 9 cm. Aby słonki zmuszone były iść prosto po ścieżkach, okłada się je po bokach suszem lub splata się ścianki z cienkich gałązek wierzbowych w wysokości słonek. Najważniejszem jest utrzymywanie zawsze ścieżek w zupełnej czystości, nieustanne prześladowanie w rewirach przeznaczonych do łowienia wszelkich drapieżników, niedopuszczanie do nich bydła i trzody i obchodzenie w porze łowienia po dwakroć w każdym dniu owych ścieżek, t. j. bardzo rano i przed zmierzchem, a czasem i w południe, aby wybrać złowione ptaki i nie zostawić ich na łup drapieżników i kłusowników. Gnój krowi i koński zebrawszy na 8 do 14 dni przed ciągiem z pastwisk w świeżym stanie i rozsypawszy go po ścieżkach, a w porze łowienia usunąwszy, można się spodziewać świetnego rezultatu w łowieniu, albowiem nawóz ów nadaje ziemi wilgoć i sprawia, iż mnożą się na niej chrząszcze i robactwo, które jako przysmaczek dla słonek ściągają je ku sobie. Przed założeniem sidełek kluczkowych trzeba uważać, aby w tej miejscowości nie było bażantów, jarząbków lub kuropatw, łowią się one bowiem w takim razie, szczególnie bażanty i jarząbki, lubiące gęstwinę.

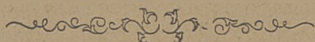
Po strzale. — Gdy się strzeliło do słonki, trzeba natychmiast psa po nią posłać, aby jeżeli już jest martwą, aportował ją lub gdy tylko postrzelona, za nią poszedł. Najsurowiej zwykle się przestrzega, aby pies bez wyraźnego rozkazu pana swego nie aportował, w tym jednak razie wyjątkowo wolno mu to uczynić, nie ma bowiem czasu do stracenia zwłaszcza, gdy słonka lekko tylko postrzelona szybko ucieka, co czyni szczególnie przed psem, lubo wtedy co chwila podlatuje i tem się zdradza. Pies więc musi rychło iść za nią, ażeby słonka nie miała czasu zapchać się w gęstwinę. Nie trzeba psa odwoływać, jak to czynią niecierpliwi i gorący myśliwi, gdy w innej stronie szuka nie w tej, w której słonkę spadającą widzieliśmy, lecz pozostawić mu zupełną swobodę. Zawsze prawie pies ma słuszność, jeżeli naturalnie jest dobry i doświadczony, lubo się zdaje, że się myli.

Przy buszowaniu i na polowaniu z nagónką rzadko się zdarza, iż rezultat strzału jest wątpliwy, widzi się bowiem przy jasnem świetle dnia słonkę spadającą, i znachodzi ją, podczas gdy po chybionym strzale lub po nieznacznem skaleczeniu ciągnie ona dalej w oczach naszych, i znajdujemy

ją zwykle po gorliwem szukaniu. O wiele nieprzyjemniejszym jest wątpliwy strzał na zasiadce w porze na pół ciemnej, dla tego nie od rzeczy będzie przywieść tu, szczególnie dla początkujących myśliwych, znamiona, jakiemi słonka znaczy, gdy jest postrzeloną. Aby te znaki spostrzedz i osądzić, musi przedewszystkiem myśliwy widzieć skutek strzału nawet śród dymu, więc mieć dobre oko. — Strzał śmiertelny znaczy słonka nagłem spadaniem z dymem, oba skrzydła do ciała przyciskając, albo przewracając się w powietrzu, poczem ginie spadając wkrótce. Już sam odgłos, jaki spadające na ziemię ciało jej sprawia, daje wskazówkę, iż albo już martwa, lub bliska skonu leży tam, gdzie spadła. Jeżeli nie ma pod ręką dobrze aportującego psa, i podejmuje się próżny trud wyszukania w ciemności słonki tam, gdzie zdawało się, iż spadła, to trzeba pamiętać, iż zmierzch często oddalenie ciągnącej słonki czyni nieco większem, i że strzelona leży zwykle trochę bliżej, jak się przypuszcza. Gdy słonka ukośnie, skrzydłami trzepiąc, niekiedy też z głosem świergotliwym bolu spada z powietrza, oznacza to zgruchotanie jednego skrzydła albo też obu. Rychło musi wówczas myśliwy pospieszać i puścić psa, który szybko idzie za nią, aby nie umknęła. Kiedy po strzale bezwładnie opuszcza w dół łapy i skrzydła, trafiona jest w grzbiet, wówczas ciągnie nieco dalej i pada na ziemię bez ruchu. Nawet gdy tylko oba skrzydła nadwerężone, nie ciągnie daleko. lecz zaraz zapada, i da się psu zchwycić. — Inaczej się dzieje, jeżeli tylko w jedno skrzydło lekko trafiona lub w dolną część ciała. W takim wypadku zdradza swój stan szybkiem spadaniem z góry, drżącem poruszeniem i jakąś trudną do opisania ale wytrawnemu myśliwemu dobrze znaną sztywnością w trzymaniu skrzydeł. Tak ciągnie słonka jeszcze około stu, najwięcej dwiestu kroków, i zapada następnie powoli, jakby zupełnie zdrowa, zakreśliwszy prawie zawsze małe koło. Niecierpliwy, gorący strzelec albo natychmiast lub po ukończeniu zasiadki idzie za nią, najzwyklej bez pomyślnego skutku, postrzelony bowiem ptak podlatuje w krzakach nieustannie, i nie dopuszcza dogodnego strzału. Spokojny i rozważny myśliwy zaś odracza odszukanie słonki na następny poranek, w którym ją niezawodnie dziewięć na dziesięć razy znajduje na miejscu, gdzie zapadła, albo już martwą albo bliską śmierci, a gdyby nawet jeszcze się poderwała, to za dnia łatwiej o pomyślny strzał. Gdy słonka podczas porannej zasadzki, przy polowaniu z nagonką lub na buszowanego w ten sposób została postrzeloną, to szukać jej należy dopiero po trzech lub czterech godzinach, zanotowawszy sobie dobrze przedtem miejsce, w które zapadła. Słonka podnosząca się zaraz po strzale w górę w prostym kierunku, kilkakrotnie chwiejnie latająca w koło i spuszczająca się następnie zwolna, draśniętą jest w oko lub w dziób albo trafiona w głowę, czasem rażona śmiertelnie, pozostawia się ją też w spokoju nieco dłużej, a w każdym razie zbliża się do niej ostrożnie. Zraniona w dziób lub szyję spada słonka, bolem i wstrząśnieniem odurzona, częstokroć gwałtownie na ziemię, podrywa się jednak, skoro ludzie lub psy się do niej zbliżają, i ciągnie zwykle bardzo daleko. Straconą jest dla myśliwego, jeżeli ją na kilka godzin nie pozostawi w spokoju. Jeżeli słonka w ledwo nieco zmienionym locie, nie zmieniając kierunku ukośnie często aż w odległości trzystu kroków przeciąga, to trafiona jest w koniec skrzydła, i dostać ją można chyba za pomocą bardzo rączego aportera, ale zwykle uchodzi. Każda śmiertelnie rażona słonka mocno się skręca w sobie, choćby nawet jeszcze dalej leciała, ale odtąd już skrzydłami wolno porusza, i spada wnet, opuściwszy je, martwa na ziemię. Gdy słonka po strzale w powietrzu się skręci, lub też pióra z niej spadają, ale nie zmieniając kierunku lotu dalej ciągnie, to jest zwykle tylko draśniętą lub lekko skaleczoną, a wtedy dobrze jest odwołać psa, nabić strzelbę, a potem ją szukać. W każdym razie radzę naprzód przygotować się do strzału. Kiedy słonka bez najmniejszego poruszenia, wcale nie przerywając lotu, odciąga, to niezawodnie jest chybioną. Gdy pies postrzeloną słonkę żywą przynosi, to zgniata się jej w celu dobicia głowę, lub wtyka pióro w głowę. Na znaczenie po strzale trzeba dobrze uważać, nic bowiem bardziej nie charakteryzuje wytrawnego, gorliwego i starannego myśliwego jak trud, który podejmuje w celu umiejętnego odszukania postrzelonej słonki.

Po polowaniu. — O obchodzeniu się z słonką po ubiciu aż do jej przyrządzenia w kuchni kilka tylko słów dorzucić można. Każda ubita słonka powinna na powietrzu ochłodnąć, zanim się ją schowa. Lepiej zresztą nie wkładać jej do torby, lecz raczej do niej przytroczyć. Jeżeli się ją ubiło na zasadzce, kiedy myśliwy powinien być w każdej chwili gotów do strzału, kładzie się tymczasowo na ziemi przed sobą lub na krzak, aż ciąg się skończy, i nadejdzie czas przytroczenia jej. Dobrze jest zranione miejsca, które na cieple rychło zielenieją, posypać potłuczonym pieprzem, czem się powstrzymuje przystęp much. Zwykle nie oczyszcza się słonka lecz piecze wraz z wnętrznościami. Czasem się jednak czyści i to w taki sposób: robi się z tyłu aż ku piersi małe nacięcie, wtyka się mały drewniany kołeczek z boku w głąb ciała u góry po nad wnętrznościami aż do komórki sercowej, i skręca się ów kołek ku dołowi tak, iż tenże z łatwością wszystko bez uszkodzenia na zewnątrz wydobywa. — Stare słonki wiesza się na kilka dni na powietrzu, jeżeli powietrze nie jest nadto ciepłe, tym sposobem mięso staje się delikatniejsze i smaczniejsze. — Zresztą oskubania nie trzeba odkładać na drugi dzień, bo w takim razie mięso nabywa nieco wstrętnego smaku, a pióra pozostawione wysysają tłuszczu znaczną część, który właściwie nadaje tej zwierzynie wytworny smak.

Tłum. J. L.



SZCZEGÓLNE WYPADKI Z ROGACZAMI

PRZEZ

Kazimierza hr. Wodzickiego.

(Ciąg dalszy).

II.

Pamiętam rogacza wychowanego w Rzeszowskiem we dworze mego brata, byłto mądry, myślący i odważny zwierz, dożył trzeciego roku swego życia, i zginął z własnej woli. Nie opuszczał nigdy dziedzińca przed domem, lecz biada nieznajomemu lub dziewce, pojawiającym się, bo albo się z tyłu zakradał i uderzał znienacka, kalecząc dokuczliwie, lub też wstępnym bojem atakował, wypadek zdarzający mi się po raz drugi w życiu. Podskakiwał lansadkami, garbił krzyże, spuszczał głowę, i galopkiem zbliżał się do człowieka, oczywiście każdy mniemał, że się chce bawić i pieścić, a on uderzał w brzuch tak silnie, żeśmy kilku ludzi cucić musieli z omdlenia, a najdotkliwsze ciosy były zadawane w żołądek. Wiele ludzi pokaleczył, a szczególnie żydów nie lubił, miał też nie jeden hałat na sumieniu, w pamięci żałośne aj waj! brat zaś mój musiał płacić za szkody. Próbowaliśmy przytrzymywać go rękami za rogi, lecz nikt nie był wstanie tego dokonać, jeden tylko kozak zdołał go przytrzymać na krótką chwilę. Po takiem pasowaniu się z nami bywał gniewny, i mścił się. Często prętem i szpicrutą pociągnięty przez krzyże, odgrażał się i rogi nadstawiał. Jedyny to był rogacz, który po zrzuceniu rogów uderzał na baby i zawsze w brzuch godził. Gdy kiełkować poczynały miękkie rogi, krył się przed ludźmi i był skromny jak jagnię. Podziwienia godny był to zwierz, myślący i rozważnie układający plany. Przypominam sobie niejeden ciekawy epizod dowodzący jego pracy umysłowej i pamięci. Później nie było wypadku, by jaka baba lub dziewka pojawiła się na podwórzu, a mężczyźni wchodzili na dziedziniec uzbrojeni w kije. Owe pałki i laski trwożyły i drażniły rogacza, często widząc wchodzącego człowieka uciekał, i chował się pod stajnię, nibyto spłoszony, ale korzystał z nieuwagi, zakradał się chyłkiem, i uderzał zawsze w tył, poczem odskakiwał i stawał w dali z wyrazem takim, jakoby chciał powiedzieć: A co, wszak prawda, żem zuch! To znowu spoczywał pod sztachetami lub we drzwiach stajni, i w tych swoich obserwatoryach leżał, dopóki się nie pojawiła jakaś antypatyczna dla niego postać, którą z tyłu atakował. Domowników znał doskonale, pieścił się z nimi i bawił, bardzo lubił, gdy go po głowie drapano, i wtedy wyginał kark w kabłąk, ale kiedy go brano za rogi, stawał zaraz do obrony, szamotał się i wyrywał. Od drugiego roku życia swego miał dziwne zachcianki, które z zręcznością i wytrwałością zaspokajał. Z ogarami żył w najlepszej komitywie, jeszcze wtedy u nas nie było znane niemieckie polowanie, z psami się bawił, na ich szczekanie odpowiadał uderzaniem rogami, w końcu uciekał, zbliżał się i znowu odbiegał, wyzywając gończaki do pogoni. Często w jesieni psy były pomęczone i nie miały do hecy ochoty, kiedy on niezbędnie potrzebował takich wyścigów, wówczas nie zniechęcał się snem i mruczeniem ogarów, i tak długo po nich skakał, odbiegał, powracał i rogi nadstawiał, aż wreszcie udało mu się pobudzić psy do ruchu. Zrazu obiegał wolnym galopkiem kilkakrotnie podwórze, następnie biegł do ogrodu i przytykającego lasku grabowego, wreszcie wymykał coraz szybszym krokiem w szerokie pole, nawracał, kołował, skakał przez rowy i płoty, niekiedy stawał, oglądał się chwilowo na psy sumiennie głoszące, i znowu dalej gonił — nigdy jednak nie zapędził się z ogarami w las, lecz zawsze trzymał się pól otwartych. Wyścigi te dawały widok istotnego polowania, i bawiły nas, dokąd z oczów nam nie zniknęły. Takie gonitwy trwały godzinę a nawet dłużej, poczem wracał rogacz rzeźwy i niestrudzony, stawał przed domem, nadstawiał psom rogi, co znaczyło: dosyć już tej zabawy, szedł do stajni, a psiska zmęczone i z zjajane kładły się na podwórzu. „Kto mieczem wojuje od miecza ginie“, nie mogę sobie przypomnieć, czy przybył jaki obcy pies, czy też domowe popełniły ową zbrodnię, to wszakże pewne, że przed samą bramą, gdy z psami powracał, został przez nie rozszarpany i pożarty.

Wychowywałem troje sarniąt, pasły się z jagniętami, i były dla mnie przedmiotem ciekawych badań. Chłopów i dziewek się nie bały, ale gdy spostrzegły surdut lub jeźdźca, warowały w bruzdach, pędem uciekały na łany z wysokiem zbożem lub w kartofle, i tam się kładły. Do jesieni wiernie pilnowały stada i razem z jagniętami szły w środku przez rozległą wieś. Dwoje uciekło a jedno z własnej woli zamieszkało na gumnie, i trzymało się go stale, spoczywając zawsze na tem samem miejscu przez dwa lata w szopie. Gumienny nastawiwszy żelaza na kuny, złapał sarnę za tylną nogę, którą musieliśmy amputować. Wyleczona nauczyła się doskonale chodzić na trzech nogach i była dziwnie przyswojoną, wszędzie jej było pełno, chodziła po ogrodach i polach, nie lękała się zaprzęgów wołowych i końskich, odchodziła daleko, nawet do przyległego lasu, ale przed zachodem słońca wracała zawsze do swej szopki. Po roku zaczęła chromać, ciągnąć za sobą nogę, często bezsilna padała, kazałem więc zastrzelić ją w celu położenia tamy jej cierpieniom.

Charaktery zwierząt, co i u domowych dostrzegamy, są różne i dostarczają ciekawego przedmiotu do badania. Jedne są dzikie, drugie łatwe do oswojenia, garnące się do ludzi, pieszczotliwe, inne miłujące wolność i niepodległość, rwące się do przeznaczenia, wskazanego przez przyrodę. Przypominam sobie sarneczkę, wierną towarzyszkę córki ekonoma przez lat trzy. Czyniliśmy wysilenia, aby ją oswoić z lasem, wozili, prowadzili w dzień i w nocy, wiedli w mioty, zamieszkane przez sarny, nawet w porze rui, zawsze napróżno, sarneczka powracała nawet z oddalonych rewirów do swojej pani, i zginęła od drąga chłopskiego. — Posiadałem kilka rogaczów oswojonych, wędrujących na lato do przyległego lasu, powracających do domu przy silnym mrozie i głębokim śniegu. Ciekawe przytem zrobiłem spostrzeżenie, że sarny przybiegające na każde zawołanie we wsi i przy domu, głosu tego w lesie i na polu wcale nie słuchały. Rogaczyk oswojony jak pies, przyzwyczajony leżeć na łóżkach, kanapach i poduszkach, przyjmujący pokarm z ręki, wyszedłszy do pobliskiej dębiny, nigdy nie pojawiał się na zawoła-

nie, powróciwszy zaś do domu był również łaskawy, jak przed użyciem wolności. Zginął on także z ręki chłopa.

Proboszcz w moim majątku wychowywał trzy sarny, do roku trzymały się obejścia, później biegały po łanach i chodziły do lasu, widocznie niewola bez tyranii była im miłą, chętnie brały podawane im przysmaczki, i nocowały w oborze. Z tych trzech sarn, rogacz i koza poszły w knieję i już nie wróciły, pozostała koza oswojona, jak domowe zwierzę, żyła z krowami i cielętami w zgodzie. przeskakując przez nie lub inne przeszkody z miejsca bez rozpędu. Pod jesień nad ranem znikła, nie pojawiła się przez trzy tygodnie, a po pięciu miesiącach urodziła sarniątko, z którem przebywała przez całe lato w łanie żyta, do probostwa przylegającego. Epizod to ciekawy, matka codzień niemal przychodziła do domu, nie wiodąc z sobą dziecka, widocznie nakazywała mu wyczekiwać spokojnie powrotu swego.

W ogólności wyrastały rogaczom rogi w kształtach naturalnych, zrzucały je w właściwym czasie, i znaczyły dokładnie wiek czyli lata. Dwa znane mi rogacze stanowiły ciekawy w tym względzie wyjątek w trzecim roku życia swego. Jednemu wyrosły rogi dosyć wysokie, pokrzywione w pniu i gałęziach z rozlicznemi odnogami, zrastającemi się na podobieństwo koralowej skały. Widziałem go z tym wieńcem w Listopadzie, a zatem nie zrzucał on rogów w tym roku, były one w części brodawkowate i skórką powleczone Drugiemu rogaczowi zlały się rogi w jedną szpiczastą całość, takąż powłoką pokryte Pierwszy był w dobrem ścierwie i swobodny, zginął w czwartym roku z tymi samymi rogami; drugi był widocznie cierpiący, chudy i nędzny, również zimy nie przeżył. Według mego zdania błędne jest twierdzenie, jakoby Kümmerer (Mylnik, Miłkus) zachowywał te same rogi przez całe życie, lub też wyrodzone otrzymywał zawsze od postrzału. Widziałem mylniki zrzucające rogi, otrzymujące porost naturalny, i przeciwnie, również mylniki zachowujące rogi przez zimę, szczególniej malutkie niedorodne, zwane przez myśliwych *pantoflami*. Zdawałoby się, że nie mają czem zawadzać o gałęzie lub uderzać o drzewo. Takie różki bywają ostro wyszlifowane i nader szpiczaste. Może wyjątkowo od postrzału staje się rogacz mylnikiem, w ogólności zaś pochodzą rogi wyrodzone z uderzenia w popłochu, lub też wyjątkowo z walki w zimie i na wiosnę. Często rogacz przedwcześnie *czemhra* rogi, krzywi je i wygina, a do tego zmusza go świerzbienie. Rogi oskorupiałe lub brodawkowo omszone pochodzą ze słych soków i przebytych słabości. Tu normy stawiać nie możemy, lecz śmiało twierdzę, że mylniki nawet zrzucają rogi, niekiedy zachowując je przez dwa lata, rogi zaś te same, noszone przez lat kilka, są nader rzadkim wyjątkiem. Znajdujemy czasem odnogi wyjątkowe lub pomnożone, dalej na jednym rogu więcej tychże, na drugim mniej, i różne wyrostki. Wyjątki takie tłumaczyć sobie musimy uszkodzeniem miękkich jeszcze rogów. — Uszkodzona odnoga przestaje rosnąć, soki zaś poruszone pędzą w rogi, i wtedyto wyrasta nienaturalny porost. Wielkość rogów i ich wysokość nie stanowią o wieku, bywają bowiem stare rogacze z niewielkimi rogami, również i przeciwnie trzechletnie z wysokimi rogami. Zdaje się, że siła rogów pochodzi od obfitej karmy, również od obfitości rogaczów w rewirze, gdzie bowiem w większej części są wystrzelone, i gdzie znajduje się wiele kóz, tam rzadko znajdujemy grube, duże rogi. Grubość rogów, znaczne korale i korona widoczna oraz szeroka nakształt kołnierza oznaczają starszy wiek rogaczów, o ile one nie są mylnikami, które często miewają małe lub pokrzywione rogi, co zresztą łatwo usprawiedliwić, bo rogacz im starszy, tem zaciętsze stacza walki. Jak trudno dla porostu rogów postawić pewną regułę, dowodzi już to, że bywają kozy z rogami dosyć normalnymi, których trzy sam widziałem.

Pamiętam wychowanego w Stryjskiem rogacza, zwanego Sylwanem. Zaiste zasługuje on na nekrolog, przypuszczam bowiem, że już nie żyje, lub w sędziwym wieku o psotach i swawoli już nie myśli. Wiem, iż należąc do Towarzystwa łowieckiego, mam w niem koleżanki w św. Hubercie, pobłażliwe dla namiętności naszych nemrodowych, mimo tego jednak muszę tu użyć wyrazu obcego naszej mowie. Owoż Sylwan był eunuchem, czyli stał się nim w kilka miesięcy po utracie swej wolności, po dostaniu się do niewoli, zaiste rajskiej. Wychowany przez uroczą dziewicę, karmiony i pieszczony przez nią, pokochał ją, a węzeł ten przywiązania był silniejszy, niż gordyjski. Wtórowałem Sylwanowi, przejęty podziwem dla uroczych i pełnych kształtów kibici, dla ciężkich, jedwabistych włosów, złocistych w promieniu słonecznym, w cieniu obsypanych jakby popiołem, dla harmonijnego głosu i magnetyzującego wzroku. Cóż dziwnego, że Sylwan był podbitym, i używając wyrazu nam małżonkom dobrze znanego, był pod pantoflem. Powolny, posłuszny i pieszczotliwy za młodu, pozostał on zawsze takim dla swej pani, lubo po utracie swej rogaczej ozdoby stał się napastliwym wrogiem ludzi, a w szczególności dziewek i bab, które rozbijał i tłukł bez litości. Na każde zawołanie swej pani, choćby cichym głosem, pojawiał się, częstokroć przeskakując przez płoty i rowy w pospiechu, jak gdyby każda chwilka w jej towarzystwie spędzona była mu drogą. Towarzyszył jej w dalekich spacerach, w lesie nawet w gąszcz się nie zapuszczał, lecz skubiąc trawki i kwiatki szedł obok swej uroczej towarzyszki, i zawsze z nią wracał do domu. Znał wszystkich domowników, nigdy nikomu nic złego nie uczynił, psy lubił i nie bał się ich, nawet swawolił z nimi. Do objadu przychodził jako codzienny gość proszony, posuwając się niezgrabnie po woskowanej posadzce. której się straszliwie bał, bo ślizgał się na niej nieustannie. Nader pocieszną była jego postać, gdy racic nie mogąc utrzymać na gładkiem drzewie ślizgał się, rozkraczał, i dziwnie błagalnym okiem zdawał się prosić otaczających o pomoc. Widocznie przerażało go to posadzkowe, jakby lodowe zwierciadło. Sprężystość jego nóg była podziwienia godną w skokach przez rabaty kwiatów lub przez ramy i płoty, a zawsze skoki te jego i lausady uroczej zgrabności przykuwały wzrok nasz ku tej pięknej i eleganckiej postaci. Sylwan jak inne znane mi rogacze. posłuszny na każde zawołanie swej pani, głuchym był na ów głos w lesie, i co ciekawsze, że odmawiając posłuszeństwa zjawiał się jednak w końcu, i towarzyszył jej do domu. Zwyczaj ten, widocznie właściwy wszystkim rogaczom, polega zapewne albo na towarzystwie otaczających go sarn w lesie, lub też na uroku gąszczów, wywołujących w rogaczu przyrodzoną tej zwierzynie ostrożność. Czy miłość i wolność mogą iść z sobą w parze, rozstrzygnienie tej kwestyi pozostawiam psychologom, w tym wszakże razie wolność przeważyła nad miłością i przywiązaniem, bo Sylwan wychodził do przyległej dębiny, z początku na chwilę, i wracał w poskokach, później pozostawał tam całemi godzinami, wreszcie dnie całe przepędzał w lesie, powracając tylko na noc do swej pani. W końcu i w nocy do domu nie przychodził, w dzień tylko się ukazując, a wtedy widocznie się cieszył, pieścił, układał do spania, i znowu pędził do lasu.

Około późnej jesieni, w porze spadającego liścia, dreszczem przejmującej mgły, zimnej nocy, złowrogich wiatrów i towarzyszącej im słoty, w tej porze, w której liściasta przyroda do zimowego snu się układa, w której kwiatek zmrożony łzami się zalewa, a na pozostałych jeszcze liściach łza się perli, w której trawa się tuli do ziemi blednąc ze smutku i obawy, w której wreszcie ostatnie szeregi lotnych wędrowców nas opuszczają, w owej porze grobowej Sylwan miotany zagadkowem dla nas uczuciem stawał się niespokojnym, nad miarę ruchliwym, coraz rzadziej pojawiał się na podwórzu, i pomimo podwojonych pieszczot, przysmaczków i łakoci nie wracał do domu. Nosił on na szyi niebieską wstążeczkę, wybladłą od rosy i deszczów, po niej poznawali go w kniei myśliwi, i jej życie swe zawdzięczał. *Honi soit, qui mal y pense* — my mężczyźni dobrze rozumiemy, dla czego związku trwałego zawrzeć nie mógł, ot bałamucił i oszukiwał bezczelnie płeć nadobną swego rodu pomimo, iż był wychowany przez dziewiczą opiekunkę z szlachetnemi i zacnemi zasadami. Nie chcę sądzić Sylwana, był on bowiem nader sympatycznym, ale podejrzenia moje stwierdzałi gajowi, widujący go w dzień i w nocy otoczonego wieńcem sarn, co dla nas wystarcza, aby rozpoznać sytuacyą i stosunki. — Nadobna opiekunka owinięta pledem wykradała się tajemniczo przy zachodzie słońca, wołając dźwięcznym głosem: Sylwan! Sylwan! z każdym dniem ciszej, łzawiej, wreszcie porzuciła bezskuteczne *rendez-vous*, i rogacz pozostał już stale w lesie, opuściwszy prześliczną ludzką sarneczkę Szkoda Sylwana, szkoda też błyszczącej łzy w nadobnem oku dziewicy! Przystępuję do najciekawszego epizodu. Gdy przyroda ustroiła się w godowe szaty, gdy słać poczęła kwieciste kobierce, rzucając na nie swe klejnoty, zjawił się Sylwan bez wstążeczki u szyi. Płochliwy strzela oczyma, strzyże uszami, najeża szerść, talerz stula i rozpościera, stroni od ludzi, patrzy w jedno okno i wspina się na mur. Odszukał swoją opiekunkę, popieścił się z nią, przyjął pokarm z jej ręki, obszedł do koła dom, na pokoje wejść niechciał i — uszedł na zawsze. Było to pożegnanie świadczące o myśli, pamięci i uczuciu zwierzęcia.

Już może powieścią o rogaczach nużę czytelników, których względy wielce sobie cenię, kończę więc z prośbą o pozwolenie rozsnucia jeszcze historyi życia Maćka, unikata w rodzie rogaczów, i przyrzekam solennie, że skończę na tym opisie mimo kroci epizodów żyjących w mojej pamięci.

(Dokończ. nastąpi).

ŁOWY NA NIEDŹWIEDZIE W GALICYI

PRZEZ

Dra Ferdynanda Krattera.

Nieraz słyszałem, jak Niemcy nazywali Galicyą krajem niedźwiedzi, zdaje się przeto być między nimi owo mniemanie pospolitem, iż w naszym kraju spotkanie z niedźwiedziem należy do zwykłych zdarzeń myśliwskich, a jednak ubicie niedźwiedzia należy tu do wielkich osobliwości. Znam wielu dzielnych myśliwych, którzy przez wiele lat nie szczędzili czasu, trudu i kosztów, aby choćby tylko strzelić do niedźwiedzia, a których usiłowania były płonnemi. Jeżeli więc ja cztery razy w życiu mojem zetknąłem się z niedźwiedziami i cztery też ubiłem, to muszę to szczęście uważać jako szczególną łaskę bogów myśliwskich, a to tem bardziej, ile że spotkanie z niedźwiedziami w obecnym stanie rzeczy do rzędu nadzwyczajnych wydarzeń należy.

I.

Przed 30 lub 40 laty były niedźwiedzie w Galicyi o wiele pospolitszymi, jak w chwili dzisiejszej. Zchodziły zwykle na wiosnę z Karpat, gdzie snem zimowym spoczywały, w leśne niziny aż ku Dniestrowi, przebywały tam w porze letniej, a w późnej jesieni szły znowu na swe zimowe leże. W podgórskich rewirach można było przeto w każdym roku znaleść niedźwiedzie przechodzące, a szczególnie szczęśliwe było pod tym względem położenie rewiru Lisowickiego, ponieważ stanowił on w obrębie czterech mil jedyny punkt styczny kniei nizinnych z lasami Karpat. Rewir ów dzierżawił ojciec mój jako starosta Stryjski od 1830 do 1847 r., i urządzał w porze łowieckiej często polowania, które wówczas do najświetniejszych w kraju należały. Rzeczą już było stwierdzoną, że niedźwiedzie w czasie przechodu do Karpat zatrzymywały się zawsze przez kilka dni w Lisowickim rewirze, gdy więc wiarogodny tropiciel zdał sprawę, że niedźwiedź wszedł, rozsyłano natychmiast zaproszenia na łowy szlachcie okolicznej, wytrawnym myśliwym sfery urzędniczej, garnizonowi Stryjskiemu na dzień następny, i rzadko się zdarzało, by który z zaproszonych nie stawił się nazajutrz w miejscu zbornem, w leśniczówce Lisowickiej.

Na owych polowaniach wychodziły w każdym roku niedźwiedzie na strzał, ale nie zawsze padały, przypominam sobie jednak, że pewnej jesieni, jeśli się nie mylę w r. 1843, zabito pięć niedźwiedzi. Najpewniej przebywały niedźwiedzie w części rewiru, przylegającej do drogi cesarskiej, w której Najjaśniejszy Pan 30 Października 1851 r. polował, i 2 dziki i 3 rogacze położył. Wtedy na rozkładzie było: 8 dzików, 18 sarn, 4 lisy, 2 zające, 1 słonka Śród tej zwierzyny znajdował się ubity przez generała hr. Grüne odyniec, ważący przeszło 400 funtów wied. W owym to dziale leśnym urządzono 31 Października r. 1845 pierwsze polowanie jesienne, a miał się w nim znajdować niedźwiedź, ale nie był na pewne otropiony. Były to pierwsze wielkie łowy, w których wziąłem udział, a ojciec mój z niechęcią zezwolił na to, musiałem więc stać przy nim, i najwyraźniej mi zakazano strzelać do niedźwiedzia lub dzika, ponieważ dubeltówka moja, zresztą ostro bijąca (kaliber 24), nabita była śrótem 0. Przepędzono już kilka miotów, zabito kilka rogaczów, lisów i zajęcy, ale niedźwiedzia nie było ani śladu. Powszechnie mniemano, iż jeżeli w istocie niedźwiedź w dniu polowania znajdował się w owym dziale leśnym, to niezawodnie po tylu strzałach i wrzawie nagonki wyniósł się w góry, i to spowodowało, że ojciec mój w skrajnym miocie postawił mnie w oddaleniu 15 do 20 kroków od siebie, a sam wziął do ręki zamiast sztućca śrótówkę. Stałem u końca wąskiej dróżyny leśnej, dzielącej szkółkę so-

snową, mogłem więc strzelać tylko na owej drożynie lub na szerokiej linii poprzecznej. Zaraz po rozpoczęciu gonu wypadł na mnie ogromny rogacz, i powaliłem go z dymem na moją niezmierną uciechę — byłto pierwszy mój rogacz. Zaledwom zdołał nabić strzelbę, usłyszałem w gąszczu łomot, więc złożyłem się na linię poprzeczną, wtem wymyka może na 10 kroków dwu lub może trzyletni niedźwiedź, a ja strzelam do niego śrótem dwa razy trafnie. Mocno znaczył, ale znikł w gąszczu, nim ojciec mój zdołał zamienić śrótówkę na sztuciec i strzelić do niego. Natychmiast zajęto miot, do którego niedźwiedź przemknął, jakoż nagonka znalazła go leżącego w jarze, co dowodziło, iż mocno był postrzelony. Niestety przebił się przez linię gońców, i mocno jusząc przeszedł do sąsiedniego rewiru, gdzie go po kilku dniach znaleziono martwego. Ubicie tego niedźwiedzia wywarło wpływ stanowczy na moje dalsze życie, od tego bowiem czasu ojciec mój, ucieszony przytomnością moją i chłodną krwią, brał mnie z sobą na wszystkie polowania, jakie kiedykolwiek sam urządzał, lub na które bywał zapraszany. Odtąd miałem zawsze swoje stanowisko, zjednałem sobie może niezasłużoną pochwałę, iż miałem odwagę strzelać śrótem do niedźwiedzia bez względu na zagrażające niebezpieczeństwo. Lubo przechwalona moja odwaga była raczej młodzieńczą lekkomyślnością, to jednak owe pochwały starych myśliwych, oddawane dwunastoletniemu chłopięciu, napoiły go dumą i znacznie się przyczyniły do rozbudzenia najwyższej namiętności myśliwskiej, lubo wzrastający z każdym rokiem krótki wzrok najmniej mnie do niej usposabiał. Namiętność ta przeważyła u mnie tę zaporę i nie mogę twierdzić, iżby to kalectwo było mi wielką przeszkodą w szlachetnym zawodzie łowieckim, chociaż należę zapewne do myśliwych najbardziej krótkowidzących.

II.

Ferye roku 1847 przepędziłem w części u kameralnego leśniczego podówczas a dziś komisarza lasowego pana Ignacego Dannersberga, w Taniawie na Bukowinie, miejscowości stykającej się z rewirem Lisowickim, ale wyżej na podgórzu Karpat leżącej. W jesieni tej otropiono i widziano tam kilka niedźwiedzi, a gdy pobereźnicy donieśli, że każdego prawie wieczora niedźwiedź w pewnem miejscu przez linię przemyka, to tak długo prosiłem pana Dannersberga, dokąd nie przyrzekł wyjść ze mną na zasiadkę. Przed wieczorem ruszyliśmy ku wskazanemu miejscu, i na przesmyku zaimprowizowano wysokie stanowisko, na grzbiecie poboreźnika wspiąłem się na drzewo, i abym strzelając nie spadł, przywiązano mnie sznurem do pnia. Las stanowiły wysokopienne dęby i buki z gęstem, laskowem podszyciem. Strzelać można było tylko, gdy zwierz przemykał przez linię, na której brzegu stał dąb z moim wysokiem stanowiskiem, lub gdyby tenże przechodził przy samem drzewie. Siedziałem już może godzinę na gałęzi nie bardzo wygodnie, gdy posłyszałem zbliżającego się niedźwiedzia, chciał on naprzód przemknąć przez linię, i wysłuchiwał dłuższy czas przed nią. Po chwili zdawał się być przejęty przekonaniem, że nie ma powodu się niepokoić i że z całą swobodą może się zabrać do swojej wieczerzy, począł bowiem przedniemi łapami ściągać z gałęzi orzechy, i z spokojnym mrukiem je zjadać. Wieczerza ta trwała z godzinę, w którym to czasie obchodził niedźwiedź moje stanowisko w półkole w oddaleniu 20 do 50 kroków. Wzruszenie moje może pojąć tylko ten, kto w podobnem położeniu się znajdował. Napróżno usiłowałem dostrzedz bogdaj zarysów niedźwiedzia, przygotowany do strzału, skoro tylko głowę lub przód korpusu choćby na chwilkę spostrzegę, ale chwilami widziałem jedynie poruszające się gałęzie laskowe lub w górę się wzbijające — nic więcej. Po pewnym czasie poszedł niedźwiedź znowu na brzeg linii, wietrzył długo, i na nowo zabierał się do wieczerzy. Tymczasem ściemniało się zupełnie, a zbliżające się kroki leśniczego wypłoszyły niedźwiedzia. To bezskuteczne spotkanie z niedźwiedziem wcale nie ostudziło mojej pasyi myśliwskiej, owszem podnieciło tak, iż zniewoliłem leśniczego Dannersberga do urządzenia małego polowania z nagonką na owego niedźwiedzia.

Dnia 11 Września wyruszyliśmy w pięciu t. j. leśniczy Dannersberg, ówczesny adjunkt lasowy później kapitan Rautschek, pobereżnik Janko, strzelec sąsiedniego obywatela i ja z 17 gońcami do owej części lasu, w której niedźwiedź zwykle przebywał. Dobry skutek był nader wątpliwy, gdyż mioty były ogromne, do odpowiedniego obstawienia trzeba było mieć przynajmniej 20 myśliwych, zwierz w ogóle nie łatwo się daje z miotu ruszyć, jak długo jeszcze liść jest na drzewach i krzakach, zresztą liczba naganiaczów była stanowczo za małą. Jakoż przepędziliśmy już kilka miotów bez skutku, więc w końcu postanowiono po południu wziąć jeszcze jeden miot na sarny. Leśniczy Dannersberg zarządził, by pobereźnik Janko, strzelec wytrawny, stanął za mną, a ja musiałem się z tem zgodzić, ponieważ pan Dannersberg wyraźnie mi oświadczył, iż w przeciwnym razie nigdy mnie z sobą na polowanie nie weźmie. Bardzo jednak byłem tą strażą nademną upokorzony, ponieważ już od dwóch lat miewałem zawsze swoje własne stanowisko, nauczyłem się szybko składać, strzelałem już nieraz do dzików, a nawet w Listopadzie roku 1846 zabiłem wielkiego odyńca. Janko także wcale nie był rad z tego wspólnego stanowiska, Janko, ów przepyszny egzemplarz, prototyp kłusownika. Z ogorzałej od słońca i wiatru twarzy z czarnymi, wzdłuż obwisłymi włosami nie można było stanowczo o jego wieku wnosić, a lubo niezawodnie sięgał pięćdziesiątki, ruchy jego były swobodne i szybkie, jakoby młodzieńca. W swoich łapciach umiał on jak kot bez szmeru się podkradać, umiał naśladować wybornie głosy wszystkich niemal zwierząt, tropił doskonale, strzelał po mistrzowsku, nigdy prawie nie chybiał, prawda że strzelał zawsze tylko z bliskiej odległości, ale też nie potrzebował strzelać zdaleka, bo znał przesmyki każdego zwierzęcia tak dokładnie, że zawsze ono na kilka kroków mu wychodziło. — Nie słuchając nigdy wykładu praw, miał Janko własne i wybitne o nich pojęcie, dla niego było rzeczą pewną, że zwierzyna jest własnością powszechną, że ją każdemu sobie przywłaszczyć wolno, a również był tego przekonania, że przez kogoś postrzelona, a przez niego odszukana zwierzyna jest słuszną zapłatą za jego trud. Takie pojęcie prawa własności było mu w ciągu całego życia dyrektywą w praktycznem zastosowaniu. Strzelba jego wcale nie budziła ufności ku sobie, złamana kolba ściągniętą była szpagatem, a przy nabijaniu trzeba było dosypywać prochu do pistonu, widocznie była przedtem strzelba do skałki urządzoną, a teraz niezręcznie przerobioną do kapsli. W owym dniu wpakował Janko do swej pojedynki większy nabój prochu, a na nim kulę kamienną i kawał siekańca t. j. ołowiu, który arcykomicznie bywał w miarę objętości lufy zastosowany. Dzięki kilku świecącym cwancygierom byłem z Jankiem w przyjaźni, i nie bardzo potrzebowałem się wysilać w celu nakłonienia go, aby mnie samego pozostawił, a sobie obrał inne stanowisko. W owym miocie na sarny, staliśmy na linii, wznoszącej się wzgórkowato, u stóp góry stał strzelec obywatelski, na 200 może kroków od niego ja z Jankiem, a dwaj inni strzelcy stanęli dalej na górze. — Skoro nam znikli z oczów, opuścił mnie Janko, aby o 200

kroków dalej stanąć na przesmyku. Już może do połowy przegoniono miot, gdy silny łomot oznajmił zbliżanie się niedźwiedzia na sztych, z każdą chwilą wyczekiwałem pojawienia się jego na linii, ale nagle stanął, schyliłem się i spostrzegłem może na krok jeden czarną łapę, jeszcze skok, a byłby mnie niedźwiedź powalił. Czułem śmiertelną bladość pokrywającą moje lica, a przechwalona moja odwaga znikła, rzuciłem się olbrzymim skokiem w bok, i złożyłem się w celu strzelenia, gdy niedźwiedź będzie przez linię przemykał, atoli on także zapewne niemiłego doznał uczucia z powodu tak bliskiej i nieprzewidzianej obecności mojej, zwrócił się bowiem nagle w tył i umknął. W tej chwili widzę, jak Janko pochyla się na jedno kolano, jak spokojnie mierzy i strzela, poczem ozwał się straszny ryk, a gdy Janko zerwał się i zniknął w gąszczu, wypadł ogromny, czarny niedźwiedź rycząc nieustannie na linię, i wyszedł to pędząc, to padając na mnie. Widok ten będzie pamiętnym dla mnie na całe życie. Uczucia moje wówczas nie były najprzyjemniejsze, ponieważ sam sobie pozostawiony, nie byłem na tyle pewny mego strzału, aby postrzelonego niedźwiedzia z dymem trupem położyć, postanowiłem przeto przypuścić go do siebie na kilka kroków, ale niedźwiedź przebiegłszy 40 do 50 kroków wzdłuż linii, umknął do następnego miotu. Otwarcie wyznać muszę, że rad byłem z tego. Po kilku minutach strzelił mój sąsiad z lewej strony, przy którym niedźwiedzica z dwoma piastunami może na 20 lub 30 kroków przez linię przemknęła. Padła z dymem, ryczała, zerwała się i znikła w gąszczu. Myśliwy ten, który pierwszy raz w życiu strzelał do niedźwiedzia, był tak rykiem przerażony, że drugi raz nie strzelił ani do niedźwiedzicy, ani do którego z piastunów. Przy końcu gonu, przy samej linii, przebiły się dwa młode niedźwiedzie od owej samicy, do której Janko strzelał, mimo wrzawy nagonki przez nią, a leśniczy Dannersberg widział jeszcze siódmego niedźwiedzia, a miał on być kolosalnych rozmiarów. Po skończonym miocie otrzymał przedewszystkiem Janko porządną burę, że nie spełnił rozkazu, pozostawił mnie samego i wystawił na niebezpieczeństwo. — Przyjął on ją spokojnie, poczem opowiadał, że dopędził niedźwiedzicę, gdy szła w górę, że strzelał do niej może o 5 do 10 kroków na sztych, że wreszcie widział dokładnie, jak z paszczy farbowała. Po przeszukaniu miotu przystawiono obie sztuki na rozkład. Zabita przez Janka była ogromna, czarna niedźwiedzica, kula i siekaniec weszły powyżej nosa i przez paszczę do płuc, a jednak padła dopiero w oddaleniu 200 kroków. Druga sztuka była jeszcze lepiej trafiona, kula bowiem idąc z prawej strony przeszła przez komorę, i ugrzęzła w lewym połciu, ona też jeszcze ze sto kroków poszła, nim trupem legła. Wagi jej już sobie nie przypominam. Piastuny pozostały w okolicy, a tegoż roku w rewirze lisowickim w tym samym dziale leśnym, w którym przed dwoma laty położyłem niedźwiedzia, ubił dwa z nich leśniczy Dannersberg w wcale pocieszny sposób. Owego leśniczego opadła w kilka tygodni później niedźwiedzica, której piastuna postrzelono, i tylko przytomności umysłu zawdzięczał on ocalenie swoje. Mimo nalegań i próśb moich nie dał się pan leśniczy Dannersberg nakłonić do urządzania łowów na niedźwiedzie w czasie mojej obecności, a przeniesienie ojca mego do Lwowa odjęło mi w następnych latach sposobność wzięcia udziału w polowaniu na niedźwiedzie.

(Dokończenie nastąpi).

O WYBORZE STRZELBY

PRZEZ

L. Weeber.

Nabywając po raz pierwszy broń myśliwską, nie czynimy tego często z należytą rozwagą, lecz raczej kierujemy się podrzędnymi, mniej ważnymi względami. Trudnobo to początkowemu myśliwemu oprzeć się zewnętrznym pokusom, jakiemi nęci ku sobie broń w handlu, postać jej zewnętrzna powabna, lśniąca, pełna ozdób wypukłych i wklęsłych misternie rzeźbionych. Owa to ornamentyka najczęściej przeważa w wyborze broni bez względu na istotną jej wartość. Gdy już raz doznamy mniej lub więcej ciężkiego zawodu, to przy powtórnym wyborze już nas nie pociągają owe blichtry, toż stają się one w obec dzisiejszych wymagań miłośników broni coraz rzadszymi. Wybierajmy więc strzelbę, którą swobodnie i składnie władać możemy, wytrwałą towarzyszkę w trudach myśliwskich, a przedewszystkiem zapewniającą bezpieczeństwo osobiste — Przejdźmy do szczegółowego rozpatrzenia się w tej rzeczy: Myśliwy wzrostu słusznego, twarzy szczupłej, z długą szyją, niechaj wybiera strzelbę z ujęciem dłuższem, kolbą więcej krzywą, przykładem czyli poduszką pełniejszą, która zapełni próżnię policzka i ułatwi oku szybki pogląd na środek linii czyli szyny celnej. — Myśliwy dobrej tuszy, małego wzrostu z pełnemi policzkami wybierze strzelbę z przykładem więcej prostym, z ujęciem krótszem i cieńszem. Oto pierwsze i najniezbędniejsze warunki względnego pożytku myśliwskiej broni.

Kolby u strzelb bywają zwykle z wyniosłością w drzewie po lewej stronie, czyli tak zwaną (baką) poduszką, lub angielskie bez tejże. Drzewo orzechowe powinno być bez skazy ze słojem regularnym, podłużnym, nie poprzecznym, szczególnie w ujęciu, jako miejscu najsłabszem. Ujęcie niech będzie względnej objętości w miarę ręki, która ma je objąć i palca, który ma sięgać do cyngla. Przy strzelbie angielskiej baczyć należy, aby osada była grubszą, szczególnie u przykładu t. j. w miejscu, gdzie policzek spoczywa, dla łatwiejszego pochwycenia linii celnej. W ogóle uważać trzeba, aby kolba wraz z ujęciem t. j. przykład w obszerniejszem znaczeniu był raczej dłuższym, niż krótszym, więcej prostym niż krzywym, ponieważ przykład więcej prosty usuwa zwykłą wadę w strzelaniu — dołowanie. Przeciwnie do strzałów w lot np. o zakłady, jakie w Anglii są w zwyczaju, równie dla myśliwych, polujących przeważnie w otwartem polu, łoże strzelby nie powinno być proste. Prawidłowa długość kolby od cyngla prawej lufy przy dubeltówce do kapy u podstawy kolby wynosić ma dla ramion długich 39 cm., dla średnich 37 cm., dla krótkich zaś 34 do 35 cm. U broni takich rozmiarów są dalekie strzały nierównie pewniejsze, a przykład taki dozwala powiększyć w potrzebie miarkę naboju. Nie należy jednak chwytać się w tym względzie ostateczności i używać przykładów zupełnie prostych,

bo one silnie trącają w ramię i policzek. Przykład średnio prosty takich rozmiarów, jakie niżej podajemy, nadaje się dla każdego niemal myśliwego. — Wpuszczenia wszystkich części metalowych w drzewo powinny być szczelne, a blaty zamków niechaj mają spojnię z lufami. Wewnętrzne części zamku, walec, łańcuszek muszą być z lanej stali.

Pomijając dziś już niepotrzebny wzgląd na należyty stosunek siły pomiędzy sprężyną kurka a sprężyną dekla na panewce przy broni skałkowej; baczyć należy u broni perkusyjnej na odpowiednie wydrążenie kurka w celu zabezpieczenia ręki i oka od pryśnienia blaszek kapslowych; u odtylcówek zaś zwracać uwagę trzeba w miarę systemu, mianowicie przy kurku Lefaucheux na należytą wysokość karbu czyli prożka, od czego głębokie wbijanie sztyftów i łatwość wyjmowania patronów zawisły, przy Lankastrach na siłę sprężyny kurka i praktyczną tegoż konstrukcyę, o czem później mówiąc szczegółowo o używanych dzisiaj systemach broni obszernie wspomniemy. Odgłos sprężyny i spustów winien być jędrny, dźwięczny i subtelny, przytem donośny i silny Zamknięcie przy rozmaitych systemach broni jest tak różnorodne i podlega tylu nieustannym zmianom i ulepszeniom, iż trudno dziś stanowczo o tem decydować, wymaga się tu głównie trwałości i wygody, w czem znana i wypróbowana firma rusznikarska najlepszą daje rękojmię. Wypada jednak nadmienić, iż obawy względem niektórych zbyt słabych na pozór zamknięć broni odtylcowej okazały się płonnemi, a o jakimś wypadku wynikającym z subtelności samego zamknięcia, rygielka, sztyfta dotąd nic nie słychać. Wypadki i słuszne obawy odnoszą się raczej do pośrednio wadliwego urządzenia zamknięcia, co się udziela dolnemu szczególnie ramieniowi łożyska (paskwili, *bascul)*. Węgieł prostokątnego spojenia łożyska (paskwili) jest miejscem najsłabszem broni odtylcowej, jeżeli w tem miejscu wierci się i piłuje dziury dla przepuszczenia rączki zamknięcia z jednej strony w ramieniu dolnem, a rygla czy sztyfta w płycie zaporowej *(stossblatt)* łożyska z drugiej strony, jak to się dzieje zwykle przy zamknięciach sprężynowych. Urządzenie takie choćby najwygodniejsze ustąpić musi pierwszeństwa pod względem trwałości i siły zamknięciom dźwigniowym *(hebeldruck)*, czego zresztą liczne okazy pękniętych lub rozerwanych łożysk broni odtylcowej, złożonych śród rupieci w pracowniach rusznikarskich, niezbite dają dowody. Toż samo da się powiedzieć o słabej konstrukcyi dolnego ramienia łożyska, ukrytego w drzewcu osady, i o zamkach przednich *(vorderschlösser)*, przejętych z kapslówek do odtylcówek. Szeroka sprężyna tychże wymaga głębokiego wpuszczenia czyli wyżłobienia w dolnem ramieniu łożyska, które przy zastosowaniu zwłaszcza zamknięcia sprężynowego czyni broń bezwarunkowo niebezpieczną

Lufy powinny być bez skazy, wyjęte z łoża i uderzone wydawać dźwięk czysty. Od siły ich zawisło życie myśliwego, więc z pedantyczną uwagą rozpatrywać się w nich należy.

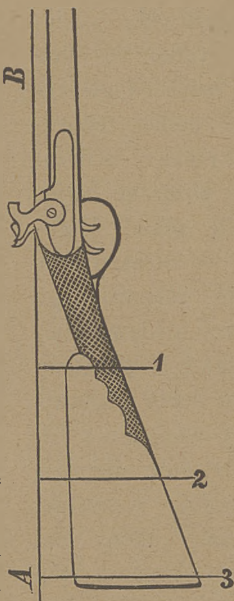
Dziwiry najrozmaitsze są właściwością, a po części nawet tajemnicą różnych fabryk, są one nietylko ozdobą, ale nawet głównym warunkiem siły luf. Nawitek splecionej z drucików wzorzystej tasiemki na kutej lufie żelaznej, w ogniu pod młotem i walcem spojony, jest najgłówniejszem znamieniem tego wyrobu fabrycznego, który dopiero pod umiejętną ręką rusznikarza, za pomocą bajcy mineralnej, występuje w całej swej piękności, bogactwie wzorów i barw. Wzorzystość owa daje nazwę rozmaitym rodzajom dziwiru, jak: dziwir drutowy, taśmowy, turecki, różysty *(rosé)*, centkowy *(Hufnagel, Bernard)*, płatkowy *(moiré, Laminette)* i inne. Z tych wszystkich zdają się być płatkowe *(moiré)* najpraktyczniejszemi, jako dające możność wykrycia skaz podejrzanych mniejszych lub większych, które fabryki zręcznie pokrywać umieją. Najnowszym wyrobem są lufy Piepera, zupełnie gładkie, z jednolitej sztaby stalowej toczone i heblowane. O wielkich i istotnych zaletach owych luf mówić będziemy później w rozprawie o lufach, tymczasem tylko nadmienimy, że lufy te swymi koncentratorami *(würgeröhrchen)* nie zaleciły się na wstępie, i z tego jedynie powodu nie sprowadziły nas od dawnego bogactwa dziwirów do spartańskiej prostoty.

Najodpowiedniejsza długość dla luf używanych w otwartem polu jest 30—32 cali, do polowania w lesie 26—28 cali, z kalibrem 14, 16 lub 18. Kaliber 16 jest zwyczajnym u dobrej broni.

Dajemy pierwszeństwo lufom z linią wklęsłą, i spajanym na cynę; a polecamy je z następujących powodów. Lufy w ten sposób spojone są nierównie lżejsze od luf z linią prostą, i mają jeszcze tę ważną zaletę, że wzdłuż całej linii lepiej stopniuje się ich grubość. Linija wklęsła wymaga staranniejszego wykończenia, ułatwia pochwycenie i zatrzymanie celu, wyżłobienie bowiem skupia więcej promienie oczne i niedopuszcza zboczeń, zwykłych przy linii prostej. W końcu rozprężenie metalu i wstrząśnienie spowodowane wybuchem gazów i wylotem naboju są o wiele regularniejsze u luf z linią wklęsłą. Mniejsze wstrząśnienie jest skutkiem swobodniejszego wylotu naboju, szczególnie śrótowego, i zapewnia też dalszą donośność strzału.

W celu ułatwienia zwłaszcza początkowym myśliwym wyboru strzelby z odpowiednim przykładem, dodajemy jeszcze następne uwagi:

Przestrzeń kolby od tak zwanego *nosa* do poprzecznej (tylko idealnej) linii środkowej — tak zwana *baka* — jest częścią broni dla myśliwego najważniejszą, część zaś kolby od linii środkowej aż do *kapy* jest mniejszego znaczenia.



Przy zmierzaniu się czyli składaniu pochylamy głowę naprzód, i opieramy policzek na przedniej części kolby. Można tę rzecz uwidocznić w rysunku, w którym idealne przydłużenie linii celnej *A B* styka się w pewnym odstępie zakrzywienia kolby z trzema liniami pionowo do niej pociągniętemi, mianowicie pierwsza przy nosowem wzniesieniu kolby, druga w środku kolby, trzecia zaś przy podstawie kolby. Z takiego wzoru możnaby ułożyć następny szemat przykładów:

I. przykład krzywy:
1. przy wzniesieniu kolby 42 milim.
2. w środku „ 51 „
3. u podstawy „ 58—60 „

II. przykład średni:
1. przy wzniesieniu kolby 36 milim.
2. w środku „ 45 „
3. u podstawy „ 52—54 „

III. przykład prosty:
1. przy wzniesieniu kolby 30 milim.
2. w środku „ 36 „
3. u podstawy „ 43—45 „

Przechodząc do uwag nad kalibrem broni myśliwskiej nieciągniętej, zaznaczyć wypada wzrastające coraz bardziej zamiłowanie do większych kalibrów, które usiłuje przenieść wymaganą od dobrego strzelca zręczność na broń samą, i słuszną

*

budzi obawę, że wkrótce kaliber strzelby będzie miarą dzielności myśliwego, co zresztą dla miłośników kalibrow 8, 10 i 12 niewielkim stanie się zaszczytem. Kaliber 16 zdaje się być zwłaszcza, iż go w razie potrzeby do kuli użyć można, najodpowiedniejszym. — Z tego, że przodkowie nasi kochali się w drobnych kalibrach ptaszniczek, nie wynika, byśmy jedynie dla sprzeczności przechodzili od razu do bandoletów fortecznych. Ojcowie nasi dawali tem dowody gospodarności i zręczności, gdy przeciwnie my okazujemy rozrzutność obok zręczności bardzo wątpliwej zwłaszcza w obec nielicznych już niestety rutynistów dawnej szkoły, którzy jeszcze trzymają się kalibrów 18 i 20. Miejmy nadzieję, iż na chwałę i pożytek prawdziwych myśliwych stanie się z kalibrem 8 i 10 to samo, co się stało z nieużywanym już dzisiaj *sznellerem.* Polowanie dostarcza dobru powszechnemu nie małej korzyści, ale należy je też uważać jako rozrywkę, a właściwie jako przyjemność zbytkową, która kształci swobodę umysłu, dzielność ducha, krzepkość, siłę i zręczność ciała. Pielęgnujmyż tę szlachetną właściwość łowów, i nie dozwalajmy, ażeby ona stała się pobudką do rozwijania w nas zwierzęcych popędów, brutalnych namiętności i okrucieństwa. Strzelby z wielkim kalibrem służą może odpowiednio w Anglii w owych szermierkach zakładowych w celu dogodzenia ambicyi lub pozyskania znacznego grosza, ale u nas strzał z lufy takiego kalibru np. w stadko kuropatw ileżto pokaleczy z nich bezpożytecznie? Przyczynia się taki kaliber do wcale nieracyonalnego tępienia zwierzyny, czego myślący myśliwy pewnie nie uczyni.

Zanim się stanowczo wybierze broń, należy ją naprzód wypróbować. Próby takie odbywają się zwykle na 40 — 50 kroków śrótem Nr. 5. Jeżeli strzał był regularny i naznaczył się dobrze w obrębie tarczy, bez dotkliwego trącenia, natenczas broń będzie przydatną do łowów. Próbę przedsiębrać należy mniej więcej w następny sposób: Na arkuszu papieru kreśli się trzy koła, pierwsze w promieniu 15 centim. da nam prawie wielkość zająca, drugie w promieniu 7 centim. słonki lub kuropatwy, trzecie wreszcie w promieniu 5 centim. kszyka lub przepiórki. Książka stara podłożona pod ów arkusz wskaże nam najlepiej przebitemi kartkami swemi, o ile strzelba ostro bije.

Cena dobrej strzelby odręcznej roboty nie może być niższą, jak 60 złr., nadwyżkę płaci się najczęściej za ozdoby. Mogą też często i strzelby wyrobu fabrycznego po 25 —30 złr. wytrzymać próbę strzału, ale co do trwałości, jakości materyału, wykończenia, a głównie przyjemności w użyciu nie mogą one żadną miarą równać się z odręcznemi.

Kończąc ten zarys ogólny winniśmy dodać, że wyroby krajowych naszych rusznikarzy mogą pod każdym względem współzawodniczyć z wyrobami zagranicznymi, a przechodząc do ocenienia pojedyńczych części składowych broni myśliwskiej — zaczniemy rozprawą o lufach.

JELEŃ

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

W głębi puszczy zapalają w pewnych odstępach bujne, zeschłe trawy. Szybko szerzy się pożoga podsycana wiatrem, w nader krótkim czasie obejmuje znaczną przestrzeń, wściekle wiatr niesie ogniste bałwany niszcząc wszystko, co staje w drodze. Co rośnie i żyje, staje się pastwą rozszalałego żywiołu. Czerwonoskóry łowcy, nie wyjmując kobiet, uzbrojeni w oszczepy, stają na przeciwnym brzegu rzeki, i z drżeniem oczekują pojawienia się wypłoszonego pożarem zwierza wszelkiego rodzaju, szukającego ocalenia przed ścigającą go groźną pożogą w szybkiej ucieczce. — Straszny to widok pędzącego w przerażeniu i bezładnie różnorodnego zwierza, bawoły, jaguary, tygrysy, antilopy, niedźwiedzie, jelenie i tym podobne wszystko z sobą zmięszane, w groźnem niebezpieczeństwie zapominają o wzajemnej ku sobie nienawiści, w szalonym popłochu rzucają się w nurty wód, i nic ich w zapędzie powstrzymać nie zdoła, ani huk strzałów, ani dzikie okrzyki licznej gromady ludzi, którzy mordują wszystko. Łowy te zwykle tak długo trwają, dokąd pożar, jakoby gad olbrzymi z sykiem głośnym nie zbliży się i nie skona u stóp wód, a łowów tych nawet noc nie przerywa, łuna bowiem pożaru jasno oświeca koryto rzeki, w którem w rozpaczy zwierz szuka ochrony.

W odmienny, nigdzie nie używany sposób polują na wszelką bezbronną z natury zwierzynę w Azyi, a mianowicie w Indyach wschodnich. Kraj ten, pełen borów olbrzymich, do tej pory dziewiczych, z klimatem umiarkowanym, najwięcej na całej kuli ziemskiej posiada dzikich zwierząt łownych. Między licznymi ich rodzajami jest tam pantera, przez Indyan zwana *gepardo* w nauce zaś *felis gcphardus*, mająca tę odmienną od swych współplemieńców właściwość, iż się łatwiej oswaja, a nawet mnoży w niewoli. Kształtem ciała najzupełniej do pantery podobna, włos tylko więcej płowy, a centki wydatniej odznaczone i ciemniejsze. Najgłówniej wyróżnia ją kształt głowy więcej podłużny. Gepard złowiony za młodu, lub wzięty z gniazda do tego stopnia się oswaja, iż do łowów użytym bywa. Opiszę go w krótkich słowach. Pielęgnowanie i układanie do łowów geparda wymaga wiele trudów i kosztu, przeto tylko najzamożniejsi tem się zajmują. Jak niegdyś polowanie z sokołami było zabawą pańską, tak również jest nią do dzisiaj w Indyach polowanie z gepardem. Ułożone do łowów zwierzęta te umieszczone są z osobna na wozach, ciągnionych przez woły, głowy ich pokryte skórzanymi kapturami, aby się przedwcześnie nie zrywały, a upięte są na cienkich, ale silnych łańcuchach. Im łowiec bogatszy, tem więcej wyrusza takich wozów. Przybywszy na miejsce przeznaczone do łowów, zajmują wozy pewną przestrzeń, ostrożnie i zwolna naprzód postępując. Na każdym wozie znajduje się oprócz geparda jego dozorca, poganiacz wołów, a często też ktoś pragnący wrażeń z drużyny myśliwskiej. Jeżeli łowy mają się odbywać w miejscowości nie zakrytej drzewami, krzakami lub bujną trawą, natenczas wozy osłaniają się gałęziami lub ściętą trawą, okrywającemi ludzi i zwierzę. Jeśli dozorca ujrzy w dali soko-

lem okiem spokojnie pasące się stado, lub pojedyńczą sztukę antilop lub jeleni, których tam wielka liczba, wtedy ile możności najciszej zbliża się ku nim, wóz staje, dozorca zdejmuje zasłonę z oczów geparda, który wnet bystrym swym wzrokiem dostrzega zwierzynę, spuszczony z łańcucha kocim obyczajem miękko i bez szelestu zeskakuje z wozu, i znika w gąszczu, lub gdy go nie ma, przypada do ziemi i pełza ku pasącemu się stadu. Po zeskoczeniu z wozu geparda, myśliwi ruszają naprzód w celu zwrócenia na siebie uwagi ostrożnego stada, a tem samem odwrócenia jej od podkradającego się geparda. Stada przywykłe do widoku w dali ludzi i wozów nie trwożą się żerując spokojnie — wtem nagle pomknęły w szalonym pędzie, znak to, że gepard chwycił już swoją ofiarę, lub też umknęła mu ona. W każdym razie wóz dąży na miejsce spodziewanego krwawego dramatu, i zwykle słychać już zdala głos jakiś jękliwy, to głos geparda zagłębiającego pazury i zęby w martwą już ofiarę swoją, oko dziko mu świeci, długim ogonem chłoszcze swe boki. Wtedy zaprawdę nikt się nie odważy zbliżyć ku niemu, chyba dozorca, którego się lęka, a i ten nie odbiera mu pastwy gwałtownie, lecz raczej łagodnie lub sposobem zamiany na żywego królika, których zawsze na ten cel kilka ma przy sobie. Gepard wtedy wypuszcza zchwytanego zwierza z paszczy i chwyta królika, ulubiony przysmaczek, z którym wedle zwyczaju kociego igra przez chwilę, a potem pożera. Następnie stygnie jego zapał, i daje się zakapturzyć. Jeśli napad był bezskutecznym, nie ściga gepard swej ofiary, czując swoją w tym względzie nieudolność. Odwiecznym takim trybem polowania bawiono następcę tronu angielskiego podczas jego bytności w Indyach wschodnich Sposoby te polowania przytoczyłem jedynie w celu przekonania czytelnika, iż w podobny sposób polować u nas na jelenie niepodobna z pomyślnym skutkiem. Najodpowiedniejszym jest sposób kłusowniczy, mianowicie: podczas r y k o w i s k a, na w y c h o d n e g o i na p o d c h o d n e g o.

Polowanie w c z a s i e rui czyli p o d c z a s r y k o w i s k a należy podług mnie do najprzyjemniejszych. Kto jednak nie posiada zimnej krwi, cierpliwości, niezna dokładnie miejscowości, w której polować pragnie, niezna natury jelenia, ten niechaj nie wybiera się na takie łowy. Jak wyżej powiedziałem, właściwą porą rui jest Wrzesień do drugiej połowy Październnika. Dokładnie oznaczyć początek i koniec jej niepodobna, ponieważ zawisła ona od wielu sprzyjających lub niesprzyjających warunków. Gdy ubiegła zima niebyła zbyt mroźną i śnieżną, jelenie wyszły z niej nie zbiedzone, a wiosna i lato ciepłe i niesłotne, to ruja rozpoczyna się wcześniej, często już w Sierpniu najkraśniejsze rogacze poczynają się niepokoić, porzucają stado, porykują, uganiają po ostępach, czyli jak to mówią: tłuką się jak Marek po piekle. Wszelkie te pojawy zwykły się spóźniać po zimie śnieżnej i mroźnej, więc głodnej. Nader ważnemi dla łowca są dawne czyli pszeszłoroczne rykowiska, które rozpoznać łatwo, ponieważ walki rogaczów pozostawiają tam na długo niezatarte ślady w zoranej racicami ziemi. Owe dawne rykowiska zwykły odwidzać rogacze w czasie następnej rui, winien więc przezorny myśliwy owe miejsca dobrze zachować w pamięci, a nawet naznaczyć je, by tam zasiąść na czatach sam lub najwięcej we dwóch i to tylko w takim razie, gdy sam wabić czyli naśladować poryku rogacza nie umie. Gdy nadchodzi pora rui, poczynają odzywać się samce, rogacze, chłysty a nawet szpiczaki, każdy odmiennym głosem, im kraśniejszy, tem rzadziej i grubszym głosem. Szpiczak czasem tylko odezwie się swym cielęcym, beczącym głosem, zapewne tylko za przykładem starszych, za co g o od rogacza spotyka bolesna kara. Najhałaśliwsi są chłysty, porzucają stado, i włócząc się samotnie, ryczą nieustannie, a uganiają jak opętane, więc też najczęściej padają od strzału zaczajonego myśliwca, który nawet lichem wabieniem do siebie ich znęci. O wiele ostrożniejsze są krasne rogacze, w obec nich przeto niemałej trzeba użyć przezorności. Wabić należy z łudzącą dokładnością, bo stary rogacz to ów przysłowiowy wróbel, którego na plewę nie złapiesz. Jak wabić należy, opisać niepodobna, potrzebną jest w tym względzie wprawa. Węgierscy i huculscy kłusownicy dmąc w róg bawoli lub róg wołu węgierskiego wybornie umieją naśladować poryk jelenia, a niektórzy nawet czynią to łudząco składając rękę w kułak, w który dmą, otwierając na przemian palce jakoby klapy instrumentu. Do tej chwili kłusownicy Karpat sanockich nie znają tych sztuczek, z tej też przyczyny jeleń tam jest pospolitszym. Niestety podobno już uczą się tego kunsztu.

Pragnąc dać obraz takich kłusowniczych łowów, opowiem zdarzenie, którego byłem naocznym świadkiem. Przed laty dzierżawił p. Żukotyński wieś Za.... w głębokich górach w pobliżu Bieszczadów położoną. Małego wzrostu ale nader sprężysty to był człowieczek, a myśliwy nie bardzo tęgi, ale siarczyście namiętny. Było to przy końcu Września, wróciwszy właśnie z mojej włóczęgi po górach, ułożyłem się strudzony do spoczynku, i zasnąłem snem sprawiedliwych, gdy około północy budzi mnie jakiś hałas piekielny, ujadanie i wycie psów i trąbienie jakoby w kniei. Przez chwilę nie mogłem zdać sobie sprawy, czy to się dzieje na jawie, czy we śnie. gdy wszakże wrzawa nieustawała, wnet ocknąłem się zupełnie. chwyciłem nabitą dubeltówkę, wybiegłem na dziedziniec, i widzę, że to p. Żukotyński siedząc na koniu dmie z całej siły w trąbę, a złaja ogarów i kundlów wtóruje mu z całej siły. Ujrzawszy mnie, poczyna wołać: „Ho! ho! wstawaj, wstawaj, jak się nazywa, pojedziemy po prostu tak naprzkad (miało to znaczyć na przykład) w Bieszczad na jelenia“, — a trzepał te słowa jedym tchem, swoim zwyczajem parskając jak kot. Gdy zsiadł z konia i uspokoił się, dowiedziałem się od niego, że w Wołosatem słychać mnogie poryki jeleni, więc pragnie na nie zapolować, i mnie na to polowanie zaprąsza. Naturalnie przyjąłem chętnie propozycyę, ale trzeba było jechać natychmiast, bo droga była dosyć daleka do mieszkania pana Ż., dokąd wyraźnie dochodziły poryki jelenie, zwykle z zachodem słońca poczynające się, a około południa milknące. Przed zmrokiem wieczornym wyruszyliśmy w sześciu myśliwych na szczyty Bieszczadów, by zająć stanowiska. Kilka godzin przed wyruszeniem wyprawiliśmy wabca Pisztę, który nam zaraportował że szumnych po słowacku, a po naszemu krasnych rogaczów odezwało się cztery, a kilka *betiarów* to jest pośledniejszych. Piszta był to ciekawe indiwiduum i sławny wabiec nietylko rogaczy, których poryk umiał znakomicie naśladować na kułaku, ale też umiał on naśladować głosy wszystkich niemal stworzeń boskich, a trąbił doskonale nie tylko z rogu myśliwskiego, lecz też i z półgarcówki. Mienił się Węgrem, ale podobno nim nie był, lecz raczej Słowakiem z Borsodzkiego komitatu. Musiał mieć wtedy z górą lat 60, siwy był, zgarbiony, z twarzą czerwoną jak burak i takimże nosem, czyli raczej nosami, bo dzielił się on na wiele odnóg. Myśliwym był znakomitym, znał wszelką zwierzynę i wszystkie ostępy Bieszczadów po stronie węgierskiej jako też galicyjskiej. Jemu oddaliśmy też komendę, przyrzekając mu bezwzględne posłuszeństwo. Ustawił nas w kształcie rzymskiej piątki szeroko rozwartymi bokami. Odstępy między myśliwymi były znaczne, aby zająć jak najdalszą przestrzeń, jeleń bowiem

mógł był ze wszystkich stron wstąpić w ów zaczarowany trójkąt. We środku zajętej przez nas przestrzeni było dawne rykowisko, niewielka polanka z kilku krzaczkami jałowcu. Pora była pogodna, lecz nieco wietrzna, więc szczyty drzew szumiały dość głośno, zrozumiałem Pisztę, umyślnie wybrał taką porę w celu przygłuszenia naszych kroków podczas zajmowania stanowisk. Myśliwi otrzymali polecenie stać spokojnie i ile możności się ukryć. Mnie postawiono na prawem skrzydle trójkąta w pobliżu małej ścieżynki, chyba przez zwierzynę wydeptanej, wiodącej do rykowiska, które może o 200 kroków było odemnie oddalone, a dzielił je odemnie potok. Polanka, na której się znajdowało owe dawne rykowisko, była nieco wyniosłą, całą przeto prawie jej przestrzeń miałem na oku. Stanowisko moje było wyborne, ukryć się mogłem po za olbrzymim bukiem, w skutek starości powalonym. Umówiono się, iż gdy Piszta obstawi wszystkie stanowiska, da sygnał t. j. odezwie się jak kos, jakoż po godzinnem może oczekiwaniu usłyszeliśmy donośny spiew kosa, a potem głos podobny do chichotu, jaki zwykłe wydaje z siebie ten ptak, gdy spłoszony na inne miejsce przelatuje. Potem głucha nastąpiła cisza, zdala tylko odzywały się głosy porykujących rogaczy. — Piszta nie zajął stałego stanowiska, to się oddalał to przybliżał ku miejscom osaczonym, nagle zawabił cienkim głosem jak chłyst w odpowiedzi na podobne głosy zdala się odzywające. Piszta wabił wybornie w pewnych dosyć długich odstępach, urozmaicając te intermezza naśladowaniem głosów różnych ptaków, to huczał jak puhacz, to znowu cienkim głosem jęczał jak sowa pójdźka lub puszczyk, to zakrakał jak wrona spłoszona ze swego nocnego siedliska przez kunę, głos ten był tak ucieszny, iż trudno się było wstrzymać od śmiechu. Poryki, jakie się w różnych stronach odzywały, nie mogły nam dać pewności, w której właściwie stronie jelenie się znajdują, odgłos ich bowiem odbijając się o skały i drzewa sprawiał złudzenie. Wiatr rozwiewał ów głos, który stawał się głuchym, lub niósł ku nam, wtedy zdawał się być bliskim. Niewiem, jakich wrażeń doznali moi towarzysze, ja dziwnie byłem usposobiony, każdy wyraźniejszy poryk przyspieszał tętno mojego serca i krążenie krwi, która jakby roztopiony ołów przebiegała zwykłe swe drogi, nie dając uczuć zimna, jaki przejmował członki zwłaszcza, że po północy temperatura znacznie się zniżyła. Cała noc przeszła nam na takiem oczekiwaniu, już i księżyc przedtem jasno świecący zniknął z horyzontu, i ciemno się zrobiło na niedługi czas, bo wnet wschód począł się rumienić. Cisza była zupełna, nawet bliższych poryków nie było słychać, wtem padł strzał elektryzując nas wszystkich, a po nim okrzyk: „Ha! ha! jest! jest!" — W jednej chwili wszyscy spieszyliśmy do miejsca, w którem padł strzał, ja dążyłem z najdalszej strony, zaledwie postąpiłem kilkadziesiąt kroków, przemyka przedemną może na 30 kroków rogacz. Spotkanie to było tak niespodziewane, iż zanim zdołałem odwieść kurki, jeleń znikł mi w gąszczach. Proszę sobie wyobrazić moje uczucie w tej chwili. Przyszedłszy na miejsce strzału, zastałem tam już całą drużynę myśliwską wraz z Pisztą. Strzelał Ż., lecz sądząc po zbyt małej ilości farby, strzał nie był śmiertelny. Rogacz pomknął jak strzała, ale nie byłto ten sam który na mnie wyszedł, on bowiem uszedł w przeciwną stronę. Ż. nie tęgim był strzelcem, a nadto zawinił, iż głosem odstraszył jelenia, któryby był niezawodnie padł od strzału którego z myśliwych, z tego też powodu dostało mu się dosyć ostrych wymówek. (Ciąg dalszy nast.)

KORESPONDENCYE.

Zdarzenie z jeleniami. — Roku 1860 byłem w stanie Missouri w powiecie (County) Gasconady, niedaleko od powiatu Puławskiego (Pulasky County). Wyszedłszy przed południem ze sztućcem do lasu, po półgodzinnym chodzie spostrzegłem łanię, która wszakże prędko zniknęła w gęstwinie, więc zbliżam się ku temu miejscu i spostrzegam w polu oparkanionem, leżącem obok tej gęstwiny, jelenia. (Każdy kawałek pola jest tam ogrodzony tak zwanym fencem, są to rygle pięcio łokciowe ułożone w zygzak dosyć wysoko, jelenie jednak z łatwością przeskakują je). Z razu niedowierzałem sobie, zwłaszcza że było to w oddaleniu paruset kroków. Pora była prawie południowa, a pole zupełnie puste, tylko w małej dolince, przedtem zapewne zalanej wodą, podnosiła się wysoka trawa już pożółkła, i w tej to trawie stał jeleń, którego głowy niewidziałem, bo ją pochylił. Przychodziło mi na myśl, czy to może nie osioł, bo tam dla produkcyi mułów chowają osły, ale gdy zręcznie podkradając się ku fencowi mam zwierza ciągle na oku, podnosi jeleń głowę z rogami, a w tejże chwili drugie rogi i druga głowa się ukazują i wnet chowają się znowu w trawie. Zbliżywszy się niespostrzeżony do fencu, zmierzyłem — strzelam — jeleń ryknął, podskoczył i padł, trafiony w samą komorę. — Uradowany przełażę fenc, idę ku trawie, gdzie padł jeleń i znajduję dwa jelenie zczepione z sobą rogami. Mniejszy zabił rywala zapewne przed chwilą, bo nie miał jeszcze czasu wyplątać rogów swych z rogów przeciwnika, a każde poruszenie głową, pociągało za sobą również poruszenie zabitego. Walczyły widocznie o łanię, którą widziałem, i która w bliskości oczekiwała zwycięzcę. Mniejszy pokonał większego z dwóch przyczyn mianowicie, iż mając trochę mniejsze rogi wsunął je pomiędzy większe przeciwnika i małym dolnym rożkiem (kolcem) zabił go. Druga, zapewne główna przyczyna, była niezawodnie ta, którą dopiero przy rozrębywaniu mięsa spostrzeżono, to jest, że jeleń pokonany był przedtem postrzelony małą kulką, jakiemi zwykle Amerykanie strzelają, kulkę tę znaleźliśmy przy kości pacierzowej, wprawdzie rana zagoiła się i zarosła, musiał jednak być z tego powodu słabszym w krzyżach, więc mniejszy go zwyciężył, co mu wszakże nie wyszło na dobre. Gdyby był mnie wcześniej spostrzegł, byłby niezawodnie silnem szarpnięciem wyrwał się z objęć przeciwnika, a wnoszę to ztąd, że ja trochę przekręciwszy rogi mniejszego, z łatwością je rozplątałem. Sam jeden nie mogąc sobie dać rady z dwoma jeleniami poszedłem do domu.

Wypada mi, zanim o jeleniach skończę, nadmienić jaki to był ów dom. Wysiadłszy z wagonu po przybyciu do Ameryki w Hermaw, mieście położonem nad rzeką Missouri, a zamieszkanym przeważnie przez Niemców, poszedłem na drugi dzień, zostawiwszy pakunek w hotelu, rozglądnąć się w okolicy. Na noc zachodziłem zawsze do jakiego farmera, który za nocleg i pożywienie zwykle nic nie żądał, jednakże przyjmował ćwierć dolara. Otóż trzeciego dnia przechodziłem przed wie-

czorem koło jakiejś zamożniejszej farmy, widziałem bowiem Negrów, podówczas jeszcze niewolników. Że jednak jeszcze słońce nie bardzo się zniżało, nie chciałem tak wcześnie nocować i poszedłem dalej. Uszedłszy z ćwierć mili lasem, znalazłem drogę rozstajną, poszedłem tą, która zdawała się więcej uczęszczaną. Idę ze dwie godzin, już noc zapada a tu las i las, już chciałem rozpalać ogień i nocować w lesie, ale pomyślałem, że droga koniecznie mnie między ludzi zaprowadzić musi, jakoż istotnie około godziny dziesiątej spuszczając się z góry, spostrzegłem światełko, dążę więc ku niemu i widzę dwie maleńkie chatki razem złączone za pomocą obicia z dranic. Wchodzę do tej, gdzie było światło, mieszkańcy (Niemcy) spoglądają na mnie niedowierzająco, proszę o nocleg, wymawiają się, że niemają gdzie mnie przenocować, przedstawiam więc, że bardzo zmęczonemu niepodobna mi szukać po nocy innego miejsca na nocleg. Przypatrzywszy mi się lepiej, ofiarują mi jedzenie, ja dziękuję, bo z umęczenia jeść nie mogłem, proszę tylko o wodę i trochę octu do niej. Wreszcie gospodarz Bäker zaprowadził mnie po ciemku do jakiegoś wielkiego budynku, odległego może o 300 kroków od chatek, i tam wprowadziwszy po wschodach pod dach, powiedział, że tu są trociny, więc na nich przenocować mogę. Bez namysłu dobywam z torby poduszkę do nadymania, rozwijam kołdrę sławucką, którą miałem przewieszoną przez plecy, kładę się na trociny i z umęczenia natychmiast zasypiam. Rano obudziwszy się widzę, że budynek ten jest to młyn i tartak parowy, młyn o dwóch kamieniach z Francyi sprowadzonych i piła cieniutka angielska, lecz żywej duszy w tej budowli nie było. Właścicielami tego młyna i tartaku byli trzej Anglicy bracia i jeden Niemiec, ów właśnie Bäker. Bracia Anglicy zwali się Lidge i jeden z nich najstarszy ożeniony był z siostrą Bäkera i mieszkał w drugiej chatce, a ojciec trzech braci, zgrzybiały Anglik, mieszkał z dwoma młodszymi synami w trzeciej chatce nieco oddalonej, którą dopiero nazajutrz spostrzegłem. Sami właściciele obsługiwali młyn i tartak, i trzymali tylko jednego pomocnika, który im kłody z lasu do tartaku zwoził. Tak więc we Wtorek i Piątek szedł młyn, zjeżdżali się okoliczni farmery i każdy zmełł sobie co miał, prawda, że czasem i do północy to trwało, gdy było nawoźno. Gdy szedł młyn, starszy Lidge był majstrem, młynarzem, a Bäker palił pod kotłem, a gdy szedł tartak, Bäker był majstrem a Lidge bracia usługiwali. Jeden kamień pytlował pszenicę, a drugi mełł na raz kukurudzę, a od pszenicy i od kukurudzy brali właściciele ósmą miarkę. Przez dwa dni szedł młyn, a przez trzy dni tartak, a w Sobotę to już nic nierobili, gdy zaś nazbierało się miarek, to sobie takowe mełli i wysyłali mąkę do miasta. Otóż tam zamieszkałem, i tam był mój dom. — Lecz za daleko odbiegłem od jeleni, więc wracam do nich. Przyszedłszy do domu to jest do maleńkiej komórki między chatkami, gdzie mnie nazajutrz po przybyciu Bäker umieścił i złożywszy broń, idę do Bäkerów i powiadam, że zabiłem dwa jelenie, dają mi obiad, a Bäker poszedł osiodłać konia. Zjadłszy idziemy w las, źle mówię w las, bo tam było wszystko lasem i osada z młynem leżała na niewielkiej dolinie w lesie. Idziemy więc, a Bäker pyta czy daleko? — odpowiadam: z ćwierć mili. Wreszcie stajemy na miejscu, Bäker przywiązał konia do drzewa, przełazimy przez fenc, a potem rozłożywszy jedną ściankę ryglów, wynosimy po jednemu jelenie, składamy na powrót fenc, wiążemy jelenie nogami do kupy, i chcemy na konia wsadzić, lecz ani na stopę od ziemi podnieść nie możemy, idzie więc Bäker po pomoc i w pół godziny przyprowadza dwóch Amerykanów tak zwanych Backwood'manów. Ci się dziwią, że jelenie takie wielkie, i mówią, że to nie tutejsze lecz z daleka przyjść musiały, tak zwane bowiem wirgińskie są nie większe od sarn. Przyprowadzeni Amerykanie wypatroszyli jelenie, poodcinali im głowy wraz z rogami i pomogli nam przewiesić je przez konia, który acz silny, uginał się i stękał. Bäker prowadził konia a ja niosłem głowy na drążku jak na koromeśle i ledwie doniosłem tak mi nagniotły ramiona. Rogi przywiozłem do Europy i mam je obecnie u siebie.

H. S.

KRONIKA.

Latakia, 15 Kwietnia.

Zakończyliśmy szczęśliwie naszą wyprawę myśliwską, której bardzo szczegółowe spisałem sprawozdanie dla „Łowca“. Szczegółów więc listownie żadnych nie posyłam, bo na to miejsca nie starczy, zresztą chciałbym, aby mój artykuł więcej obudził zajęcia. Wyprawę całą, odnośnie do mnie, uważam za zupełnie udaną, gdyż oprócz wrażeń podróży i widoków cudownej tutejszej przyrody, użyłem nieznanej mi dotąd rozkoszy myśliwskiej. Ta rozmaitość zwierzyny, której nigdy nie widziałem, te niespodziewane spotkania, wszystko to do najmilszych wspomnień myśliwskiego mojego życia zaliczam. Co do polowania w górach na grubego zwierza, to się zupełnie nie udało, i było niemożliwe naprzód z powodu olbrzymich śniegów, które tu jeszcze w górach leżą, a głównie z powodu niefortunnego składu naszego towarzystwa. Nie wszyscy przywykli do trudów, które tu w istocie są niezmierne, to też już w Alexandrecie spakowano ich znękane szczątki na okręt, i odwieziono na Beyrut do Egiptu. Ci z nas, którzy wytrwali do końca, najwyższą mieli przyjemność na jeziorze koło Antiochii. Ile tam skarbów dla przyrodnika! Wiozę z sobą rozmaite. drogocenne pamiątki myśliwskie: olbrzymiego pelikana, czaplę niezwykłą, błękitną kurę, czajkę z ostrogami u skrzydeł, frankoliny, dwa żbiki ciekawe, jednego ichnajmona, lisa syryjskiego. Wszystko to są trofea własnego strzelania. — Od kilku dni panują tu tak szalone burze na morzu, że żaden statek zawinąć nie mógł do tutejszej zatoki. *S.*

———

Na list pisany w r. 1878 otrzymujemy następną odpowiedź:

Konarzewo. 30 Kwietnia 1881 r.

Porządkując w tych dniach moje papiery, spostrzegłem pomiędzy prospektami, anonsami i t. p. rzeczami kilka numerów „Łowca“ oraz list Pański. Jakim sposobem to się stało, że ani „Łowca“ nie miałem w ręku, ani listu Pańskiego nie otworzyłem, nie mogę sobie w żaden sposób wytłumaczyć, chyba tylko tą okolicznością, że w czasie mej nieobecności sekretarz mój włożył jedno i drugie pomiędzy prospekta i cenniki, którymi jesteśmy tu w Prusach zarzucani, a ja niebacznie wszystko razem odłożyłem do przeznaczonego na ten cel przedziału. Wybaczy mi więc WPan, że dopiero dziś w trzy lata odpowiadam na jego list. Dziś niepodobna mi już przesłać załączonych numerów żadnej redakcyi, bo rzecz przedawniona. Jeżeli jednakże WPan życzyłby sobie, aby jego przedsiębiorstwo polecić, to proszę o nadesłanie mi ostatnich numerów. Z góry jednak pozwalam sobie zaznaczyć, że wobec wygasłej zupełnie tradycyi myśliwskiej tu u nas w Księstwie, Pismo sz. Pana zbyt wielu prenumeratorów nie uzyska. My polujemy tu na szaraki, to jest główny u nas sport myśliwski. No — ale zobaczymy! *St.......*

Listu tego nie możemy pominąć bez odpowiedzi. Że się nasz „Łowiec“ zarzucił między szpargały — to możliwe i prawdopodobne, że wszakże po przypadkowem odszukaniu takie wywołał u sz. korespondenta reflexye, to co najmniej — dziwne. Gdyby był szanowny korespondent raczył nie odczytać, ale tylko pobieżnie przeglądnąć przysłane mu nu-

mera „Łowca“, byłby się z łatwością przekonał, iż Pismo to nie jest przedsiębiorstwem prywatnem, obliczonem na zyski, lecz organem poważnego Towarzystwa, którego celem jest krzewienie realnych pożytków z łowiectwa i naukowej na polu przyrodnictwa wiedzy. Dosyć już liczni czytelnicy i protektorowie „Łowca“ w W. Księstwie Poznańskiem każą nam wierzyć, że tam tradycye myśliwskie nie zupełnie jeszcze wygasły, jak sz. korespondent twierdzi, bo jesteśmy pewni, że jak w całej Polsce, tak i tam żyją jeszcze tradycye rycerskie. Żeśmy się zwrócili do niemyśliwego — to jawne i pewne!

---

21 Kwietnia.

W Łubiankach pod Zbarażem ubito w ciągu r. 1880 rogaczów 11, zajęcy 118, borsuków 4, kuropatw 12, przepiórek 237, chróścieli 10, gołębi 14, kwiczołów 15, dubeltów 2, kszyków 12, kaczek 18, słonek 26; szkodników: wilków 7, lisów 14, jastrzębi 15, psów 10, kotów 8. — Otruto: wilków 6, jastrzębi 6, lisów 5, psów 4, wron 5, sojek 4.

Razem sztuk 568.

Ilość zajęcy była w zeszłym roku nadzwyczaj małą z powodu, iż pierwszy rzut młodzików prawie całkiem przez późne mrozy i wielkie śniegi wyniszczony został. Motylicy w tej okolicy tego roku nie było. Ciąg słonek był bardzo późny i słaby tak, że na jednego myśliwego przypadło w całym ciągu wiosennym zaledwo 5—6 strzałów. Co do kuropatw z żalem nadmienić należy, iż mimo bardzo korzystnych warunków ich utrzymywania się w tej okolicy, wcale ich tu mało a to głównie z tej przyczyny, iż nawet osoby, którebyraczej czuwać nad niemi powinne, wyławiają je w zimie bezkarnie na sidełka. — Wilki w ubiegłej zimie prawie codziennie pojawiały się w tutejszych lasach, i wielką w zwierzostanie wyrządzały szkodę, lubo się je nieustannie i nader starannie tropiło, i bezwłoczne w razie otropienia na nie polowało. Osobliwie wiele sarn pożerały, chociaż zawsze miały dostatecznie zatrutego ścierwa. W nocy dnia 16 Stycznia b. r. pożarły 3 wilki 3 sarny, z których nazajutrz rano znaleziono tylko szczątki, a niezwykłe to zdarzenie, by 3 wilki jednej nocy 3 sarny zchwyciły i pożarły. Wyrządziwszy taką szkodę, uchodziły w następnym dniu za granicę. — Nie było tygodnia, w którymby resztek pożartych zajęcy i sarn nie znaleziono. Oprócz wyżej wymienionych ubitych wilków, postrzelono też silnie 4 wilki, z których dotąd tylko jednego odszukano. Parę wilków mamy tu ciągle, zdaje się, że pozostaną już w tutejszych lasach, i młode mieć będą. — Straszna to plaga dla zwierzostanu. Nawet w bieżącym miesiącu polując na słonki znaleziono resztki trzech sarn przez wilki pożartych.

Ustawa dotycząca polowania tak bardzo bywa tu lekceważoną, że często można spotkać w lesie tutejszym, nawet w porze ochrony, postrzelone sarny, które oczywiście marnie giną, i stają się pastwą wilków.

Można się spodziewać, że rok bieżący będzie pomyślniejszym na zające, obecnie dosyć gęsto marczaki bywają widywane. *W.*

Przyczynek do słownictwa łowieckiego.

Apel, sygnał myśliwski dawany świstawką *kri-kri*, a czasem korkociągiem.

Buda, instytucya publiczna dla amatorów polowań gminnych, głównie w celu pisania protokółów i palenia fajki.

Cel, wyprawa myśliwska na upatrzonego, zwykle na preferansa i ferbla.

Dziczyzna czyli zwierzyna czyniąca w ogóle więcej szkody, jak pożytku, szczególnie od czasu, jak polowania gminne przez licytacye wydzierżawiane, wzbogacają gminy w Galicyi sumami neapolitańskiemi.

Farba oznacza w sporcie wyższego myśliwstwa ponętne tropy atutów na zielonym stoliku.

Gwintówka przebijała niegdyś smolne pancerze dzików w puszczy Niepołomickiej, dziś przemysł niemiecki wyrugował z niej owych rycerzy pancernych, a siekiera uczyniła z puszczy — pustynię.

Kolba służy do dobijania zwierzyny, szczególnie lisów, do dresowania psów, czasem też jako lek sympatyczny od bolu zębów.

Lufa zwłaszcza na plecach myśliwego, aparat wentylacyjny do wywietrzania kwasów i malaryi domowych, w ręce niewprawnej wywołuje przeciwne skutki.

Myśliwy, człowiek młody szukający rozrywki na bruku miejskim w szarej godzinie, w niedziele zaś i święta poza miastem z hasłem *edite! bibite!* Pływanie należy głównie do sportu tego rodzaju.

Obława, popularny sposób łowiectwa na kożuchy, buty i t. p., zaprowadzony w r. 1863, pominięty w „Myśliwstwie“ Jana Ostroroga.

Pudło czyli cel chybiony, kombinacya myśliwska użyta z wybornym skutkiem przy przeprowadzeniu nowego katastru w Galicyi.

Rykowisko, punkt zborny zawiedzionych nadziei po ś p. wielkim krachu.

Sieci, wielce korzystny wynalazek w dziedzinie łowiectwa gründerskiego przy pomocy witerunku akcyjnego.

Torba, herb królestwa Galicyi i Lodomeryi, projektowany Wydziałowi krajowemu jako najodpowiedniejszy.

Wiatr, zmysł instynktu zachowawczego, właściwy wytrawnemu myśliwemu, a szczególnie tak zwanym karyerowiczom.

Zapał, wyraz techniczny określający usposobienie galic. szkoły gospodarstwa lasowego do badań ścisłych, w skutek których uznano łowiectwo za nieprodukcyjną gałęź bogactwa krajowego.

Zwierzostan, jeden z najbardziej godnych politowania *L. W.*

Sprostowanie. — W artykule hr. Kaź. Wodzickiego, umieszczonym w poprzednim Numerze zamiast: Pomorzańskiej klucznicy, ma być: na wzór Pom. kl. Nazwę rzeki w Szwajcaryi polskiej należy czytać: Promnik nie Romnik.

Przestroga. — Szerokich rozmiarów anonse z illustracyami przedstawiającemi psy różnych gatunków, pod firmą: „*Caesar & Minka, Institut in Zahna, Prov. Sachsen*“ zachęciły mnie do sprowadzenia z tego Zakładu wychowawczego psa legawego z skończoną dresurą. Jakżeż srogo się zawiodłem! Pies sprowadzony, oblazły i brzydki nie miał wcale wiatru, zabitego ptaka darł i aportując w pół drogi rzucał, a na dobitek po dniach dziesięciu dostał takich parchów, iż w obawie, aby mi innych psów nie zaraził, kazałem go zastrzelić. Widocznie przysłano mi psa źle z parchów wyleczonego, więc też z tem większą siłą się odnowiły. Umieszczam w „Łowcu“ tych kilka słów dla przestrogi, oraz zapytuję, czyli który z panów myśliwych nie ma na sprzedaż psa dobrze ułożonego szczególnie do błotnego polowania. Takiego chętnie kupię, i po odbytej próbie natychmiast umówioną kwotę wypłacę.

Adres mój: *Ezechiel Berzewiczy w Bołszowcu, poczta w miejscu.*

Handel zwierzyną „*Ceres*“ w Warszawie, pod l. 9 ulica Marszałkowska, przesyła nam niektóre wyjaśnienia pod względem przechowania, czyli raczej ochronienia tego artykułu handlu od zepsucia:

Z północnych prowincyi rosyjskich dostajemy wszelką skrzydlatą i nieskrzydlatą zwierzynę w pakach blaszanych, hermetycznie zamkniętych t. j. zalanych cyną. W miesiącu Marcu kończy się wszelki import. Zwierzyna mająca się układać w paki do transportu, bywa naprzód wystawioną na silne działanie mroźne, skoro dostatecznie zamarzła, układają ją w pakę, niczem nie obtykając t. j. nie przysypując trocinami, sieczką lub plewą. Paki te pozostają na dworze, i są różnej objętości, najmniejsze kopowe, mieszczące 60 sztuk kuropatw, pardw; jarząbków sztuk 80, mniejszej zwierzyny jak paszkotów, kwiczołów i t. p. dwie kopy. Na żądanie wysyłaną bywa zwierzyna do miejsc przeznaczonych. Po przybyciu pak, umieszczamy je w lodowniach. Paki takie nieotwierane nader długo konserwują zwierzynę, często nawet do miesiąca Lipca. Przystęp choćby zimnego powietrza wpływa niekorzystnie na smak zwierzyny, która hermetycznie zamknięta wcale dobrego smaku nietraci. — W podobny sposób konserwujemy u siebie mleko. Zaraz po wydojeniu zlewa się ono do blaszanych puszek jakiejkolwiek miary, z przykrywkami szczelnie zamykanemi i zalanemi cyną. Mleko w ten sposób przechowane konserwuje się długo, nawet dni 7. Chcąc go użyć, wystarcza wstawić puszkę w wrzącą wodę, w której się spraża. U was we Lwowie podobno tego sposobu nie znają. Wszelkiej dzikiej zwierzyny, z wyjątkiem jeleni, i małej ilości dzików, których w północnej Rossyi wcale nie wiele, dostajemy spore transporty. Dziki przyjęlibyśmy chętnie w komis, a nawet nabylibyśmy, nie wiemy jednak, czy fracht a raczej cło nie jest za wysokie. *L. P.*

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.